Numer 25. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 23 Czerwca 1929



Kraków, ulica św. Tomasza L. 32

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Gadu-gadu w knajpie.

— Wi-Wi-Wicuś! możeby ta jeszcze je-je-jedną kolejkę?...

— D-dobrze!

— Wi-Wi-Wicek! Mmmoże bby tak j-j-j-jeszcze

— Dddobrze!

— No, a teraz jjeszcze trzecią kkkolejlejkę!

— Wwisz, Władziu, że ty mógłbyś bbyć dendentystą?

— Dlllalaczeczego?...

— Bbo juuuż mi trzetrzecie zdadanie z uuust wywywywyjąjąłeś!...



Dokładna odpowiedź.

Nauczyciel: — Jak twej mamusi na imię?

Uczeń: — Mamusia ma dwa imiona: Zosienka i Cholera.

— Co ty pleciesz, dziecko?

— Ależ tak, proszę pana psora! Tatuś czasami mówi do mamusi Zosienko, a czasem... cholero.

Zawsze interes.

Na łożu śmierci, pewien stary żyd przyjął katolicyzm.

Ksiądz mu daje do rąk srebrny krzyż.

Żyd, oddając ostatnie tchnienie, mówi:

— Sto złotych! Ja daję za niego 100 złotych.

W więzieniu.

Wojtek, dozorca (do więźnia, który się zachowywał niespokojnie): Ino tam siedźta spokojnie, bo jak to usłyszy pan naczelnik, to was każe wyrzucić na cztery wiatry!...



Też mieszczuchy.

Lusia i Niusia są poraz pierwszy w oborze i dziwują się krowom.

— Widzisz — mówi Lusia — jakie to krowy, jedna całkiem biała, a druga całkiem czarna.

— A dlaczego to tak?

— Ja myślę, że ta biała będzie chyba dawać mleko, a czarna... kawę i to razem wymieszane pijemy na śniadanie...



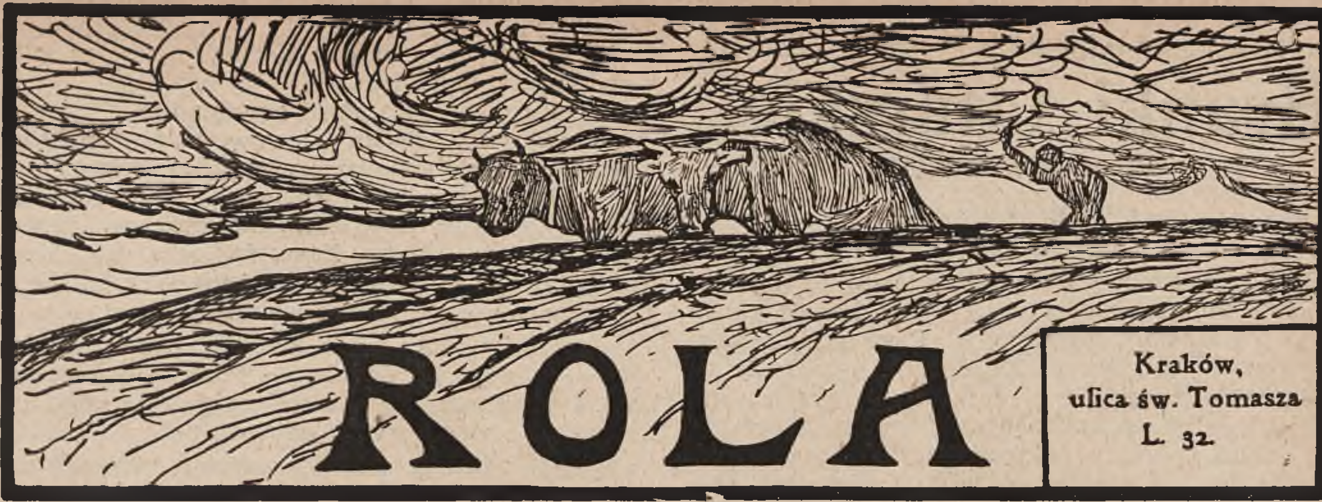
Nad grobem.

Jeden z uczestników pogrzebu wygłasza mowę nad mogiłą, w której ma spocząć zmarły i mówi między innemi:

— Nieodżałowanej pamięci towarzysz nasz zabiera z sobą do grobu najlepsze nasze wspomnienia...

Ktoś z tłumu, przerywając: — I moje sto złotych, których nie zdążył mi oddać!...

Numer 25. Rok XII. Kraków, dnia 23 Czerwca 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor.cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

„Sobótki“ i ich historja.

W wielu okolicach Polski w wigilję św. Jana w dniu 23 czerwca zapalają wieczorami ognie, przy których urządzają wesołe zabawy. Jest to jeden z starodawnych obrzędów, jakie się u nas jeszcze dotychczas zachowały. Podanie ludowe tak opowiada o powstaniu tego obrzędu:

W bardzo dawnych czasach nadobna dziewczyna imieniem Sobótka kochała się namiętnie w wojewodzie Sieciechu, który bawił na wojnie. Skoro powrócił i odprawiał gody weselne wśród ochoczych pląsów i muzyki, napadł na wioskę tłum najeźdźców. Goście weselni rzucili się do broni, a Sobótka, zasłaniając piersią własną ukochanego, ugodzona pociskiem, poległa. Na cześć bohaterskiej dziewczyny lud zapalił ognie i urządził obchód, nazywając go „Sobótki“.

Obrzęd ten jest rozpowszechniony nietylko wśród Polaków, ale znają go także na Rusi, Litwie, Białej Rusi, w Rosji, Czechach i t. d. Na Śląsku i na Morawach również znane są „Sobótki“, a nawet nazwę góry Sobótka na Śląsku wywodzą z tego, że tam zwykle palono „Sobótki“.

Na Litwie układają stos z przetaków i różnego rodzaju starzyzny, a kobiety przynoszą ze sobą wódkę, ciastka i t. p. i tak wśród rozmów i zabawy spędzają noc pod niebem. Dawniej u Litwinów podczas „Sobótki“ przerzucano przez ogień placki i chwytano je napowrót, co miało oznaczać oczyszczenie.

Słowianie alpejscy w Styrji, Karyntji i Krainie, a także w Kroacji i Slawonji zowią tę uroczystość „kres“, co po polsku oznaczałoby: krzesz; ta nazwa powstać musiała od krzeszenia ognia, który, jak wiadomo, w uroczystości tej jest głównym czynnikiem.

W niektórych krajach, np. w Czechach, przeprowadzają bydło przez ogień sobótkowy w mniemaniu, że w ten sposób uchroni się je przed chorobami.

Pogańscy Słowianie obchodzili „Sobótki“ na cześć największego bóstwa, zwanego Jorowitem, bóstwa, które przez ogień oczyszczało i oświecało wszystko: ludzi, zwierzęta, pola, lasy, zboża, rośliny i t. d.

Dawniej „Sobótki“ obchodzono na ziemiach polskich nadzwyczaj uroczyście. Na wzgórzu rozkładano ogniska ,skąd wspaniały na okolicę rozlegał się widok. Przy każdem ognisku mnóstwo włościan otaczało kręgiem palący się stos gałęzi i słomy. W pośrodku buchała ciemnym płomieniem beczka smoły, umyślnie na ten cel u smolarzy kupiona. Dokoła stosu biegali młodzi chłopcy, ścigając rzeźkie dziewuchy. Śmielsi przeskakiwali w rzutnym biegu przez gorący ogień. Domy strojono zielenią, a dziewice wkładały wieńce na głowę i przepasywały się bylicą. Po nocy przepędzonej na tańcach i śpiewach rozchodzono się do domów dopiero, gdy słońce zaczynało wschodzić.

Podobne uroczystości urządzały przed wiekami różne dzikie plemiona murzyńskie. U Hindusów np. obchód „Holi“ odbywał się ku czci bogini „Holiki“ wśród ogromnej rozpusty i pijaństwa; brało w nim udział całe plemię bez względu nawet na wiek młodociany.

W wiekach średnich obchodzono taką uroczystość pod nazwą „Nerenfest“ w południowych Niemczech oraz we Francji.

Na wyspie Takitu, leżącej na oceanie Spokojnym, po dzień dzisiejszy krajowcy urządzają sobie wieczorne zabawy w zaroślach na wzór naszych „Sobótek“. Zabawy te, dawniej rozpasane i wyuzdane, nabierają coraz więcej charakteru zebrań zupełnie przyzwoitych.

Ale czasy się zmieniają. I u nas coraz mniej teraz dawnych zabaw i uroczystości, które miały tyle swojskiego uroku, a ich miejsce zajmują ordynarne i pijackie uciechy karczemne.

ANTONI ST. BASSARA.

Branki tatarskie.

Powieść na tle historycznem.

ROZDZIAŁ X.

W niewoli.

Ranek sierpniowy zaświtał w całej okazałości. Promienie słońca przedarły się przez szczeliny namiotu i pobudziły dziewczęta. Pierwsza otwarła oczy Hanusia, rozglądnęła się dookoła i ze zdziwieniem spostrzegła, że nie w Jampolu na przytulnem łóżeczku, ale śpi na cuchnących i brudnych baranicach tatarskich. Łzy zakręciły jej się w oczach, a z ust wypłynęła gorąca prośba do Najświętszej Panienki o pomoc i zmiłowanie.

Podniosły się na swej pościeli i Ksenia i Baśka, a jeno Marcysia, choć już otwarła oczy, leżała, jakby martwa, lub pogrążona w śnie letargicznym. Dziewczęta spoglądały na siebie trwożnie, nie mogąc słowa przemówić, gdyż obawa przed tem, co ma nastąpić, usta im mroziła.

Pierwsza ozwała się Baśka:

— No a teraz co?

— Co Bóg zdarzy! Będziemy się bronić, ile nam sił starczy, — odrzekła Hanusia. — Może być, że za ten czas tatko o okupie pomyśli i wyrwie nas z tej strasznej niedoli.

— Panienkę może, ale o nas któż pomyśli? Rodzice niezamożni, to choćby i chcieli, nie zdzierżą. A zresztą, czy to tak łatwo odszukać kogoś w tych pustyniach stepowych?

— Nie wątpię, że Stach będzie szukał, póki nie znajdzie, a i wasi Lipkowie przyjdą mu z pomocą. Ojciec, choćby miał cały majątek poświęcić, poświęci go, nietylko dla mnie, ale dla wszystkich, kogo się da uratować. A gdy Tatarzy okup zobaczą, nie będą nas u siebie zatrzymywać. Tak ono bywa zawsze.

— Nie zawsze, nie zawsze! — ozwała się Mirjam, która stała przy wejściu do namiotu i przysłuchiwała się rozmowie dziewcząt.

— Jakoże jest, mów pani! — prosiła Hanusia.

— Rozmaicie bywa — odparła Mirjam. — Czasem niewielka kwota ich zadowoli i zwolnią, a kiedyindziej największe skarby za nic sobie cenią i nie puszczą. Zwłaszcza, jak dziewka jest krasna... A takie wy wszystkie jesteście! Im żona milsza, im młodość milsza, im piękne liczko cenniejsze, aniżeli bogactwa. Ot, co jest!

Westchnęła Mirjam i pobiegła myślami w własną przeszłość.

Hanusia, wiedząc od Jussufa, że Mirjam z Polski pochodzi, o czem świadczyła i jej mowa, wyciągła do niej ręce i poczęła błagać:

— Ratuj ty nas pani, ratuj! W tobie płynie krew polska, w tobie żyje dusza polska. Uwolnij nas od pohańbienia, uwolnij od strasznej niewoli.

Mirjam jednak zamiast litować się nad dziewczętami zmieniła się momentalnie do niepoznania. Podniosła ku górze trzymany w ręku harap, pogroziła nim Hanusi i zawołała jakimś opryskliwym, nie podobnym do poprzedniego tonem:

— Milczeć! Ot co jest! Ja wam pomogę, ja was przygotuję, że będziecie, jak baranki posłuszne! A jak nie, to to!

Tu wskazała na harap, a potem skrzeczała dalej:

— Są i inne sposoby, o są! Póty się ich używa, aż każda czyni to, czego sobie pan nasz życzy...

A potem znów innym tonem, płynącym gdzieś z głębi serca, dodała:

— Wiem ja coś o tem i pamiętam!

Rzekłszy to, poleciła dziewczętom, aby spały jeszcze, póki ich nie pobudzi, i wyszła z namiotu.

— Dwie dusze w tej kobiecie — szepnęła Hanusia po jej wyjściu — jedna statarszczona i podła, druga uczciwa, polska. Znać, że toczą one ze sobą walkę, ale tatarska bierze górę i nią kieruje. Nie pomoże ona nam, ale jeszcze wstręt będzie czyniła.

— Może u innej z żon Achmeta pomoc znajdziemy? — ozwała się Ksenia. — Przecież one wszystkie, nim się stały tem, czem są, przechodziły tosamo, co my obecnie przechodzimy.

— Nie mam ja wielkiej nadziei, aby one nam cośkolwiek pomóc zechciały. Wszystkie one przesiąkły już nowem życiem, a powtóre obawa przed Tatarami nie pozwoli im na żaden czyn, któryby się woli władców sprzeciwiał.

Gdy tak rozmawiały, przy wejściu do namiotu ukazała się druga żona Achmeta, czarnooka Gruzinka, Tamara. Widocznie czuwały nad nimi wszystkie żony Tatara i pilnie ich strzegły.

Tamara, nie wyrzekłszy słowa, dała im tylko skinieniem poznać, aby wstawały. A gdy dziewczęta zarzuciły zwierzchnie szatki na siebie, znów skinęła i wyprowadziła je z namiotu. Poprowadziła je do mniejszego, obok widocznie naprędce zbudowanego namiotu, jak przypuszczały, wyłącznie dla nich przeznaczonego. Tam czekała już przygotowana na nie strawa, nieco kaszy jaglanej, ugotowanej na wodzie i garść sucharów. Zgłodniałe spożyły ten posiłek z wielkim apetytem.

Po niedługiej chwili wszedł do namiotu Achmet w towarzystwie swych pięciu żon. Mówił coś do nich, czego dziewczęta jednak nie zrozumiały, gdyż nie znały tatarskiego języka, przyczem wskazywał to na Baśkę, to na Hanusię, to na Marcysię, to wreszcie na Ksenię. Żony Achmetowe z rękami złożonemi na piersiach, z głowami pochylonemi, słuchały rozkazów i skinieniem przytakiwały, że rozumią i zastosują się do jego woli.

Achmet, wydawszy rozkazy, obrzucił jeszcze raz wzrokiem skupione w gromadkę dziewczęta i opuścił namiot.

Poszły za nim i cztery jego żony, pozostała tylko Czerkieska, Mira.

Zarzuciły ją pytaniami, ciekawe, co powiadał Achmet.

Mira jednak kręciła tylko głową, jakby nie rozumiała, o co ją pytają. Może nie rozumiała, a może odpowiadać nie chciała.

Wyglądnęła z namiotu i powróciła doń z powrotem. Łzy perliły się na jej rzęsach.

Zobaczyła je Hanusia i przypadła do Czerkieski.

— Pani! Ty nas rozumiesz i współczujesz z nami! Powiedz, co Achmet rozkazał!

Mira pogładziła jasną główkę Hanusi, a potem prawie szeptem mówiła:

— Rozkazał, co było wolą jego rozkazać. Nakazał strzedz was, jak oka w głowie, jak serca w piersiach, jak skarbu najcenniejszego. Wolą jego jest, abyście mu nasze miejsce zastąpiły. Bo cóż my? Staro i sponiewierane! Nie żal nam tego, co było, bo była to nędza i poniewierka, choć w dostatki opływałyśmy. Ale strach nam tego, co będzie. Nędza się nie skończyła, a poniewierka się powiększy. Dla was będą szaty i dostatki, dla nas praca i razy.

— Ale ja wam nie zazdroszczę, o nie! — dodała po chwili. — Bo stokroć lepsza śmierć, aniżeli życie w haremie.

— A nie masz żadnego ratunku? — zapytała Hanusia.

— Wydrzej lwu z paszczy ofiarę, którą pochwycił i trzyma, wydrzej z serca ból, który się w niem usadowił! Achmet kazał was pilnować i nikt się jego woli nie sprzeciwi. A straszny on i okrutny!

— To pani nas ma pilnować? — zapytała Baśka.

— Ja i tamte! — wskazała głową poza namiot, jakby chciała wskazać inne żony Achmeta, a jakiś zły błysk przeleciał po jej twarzy. — Ja wam krzywdy nie zrobię, bo pamiętam własną dolę. Strzeżcie się jednak Tamary, bo ta nie ma litości w sobie. Strzeżcie się i tej czarnej, Sumity, Węgierki, bo ona też potrafi pokazać, co umie. Najgorszą rzecz uczyni, aby się tylko panu swemu przypodobać!

— A Mirjam? — zapytała Hanusia.

— Mirjam dobre ma serce, ale górę nad niem bierze lęk przed Achmetem. Raz aniołem jest, kiedyindziej szatanem się staje.

— A piąta? — zapytała jeszcze Baśka.

— Szyrin? Ta Gruzinka, choć żyje, ale żywą nie jest. Każdy rozkaz wypełni jak najsumienniej, ale nic poza tem. Jej ciało jeszcze jest tutaj, dusza dawno już w zaświatach.

— Jakaż przyszłość nas czeka? — zapytała Hanusia, chcąc wykorzystać gadatliwość Czerkieski.

— Lepsza, jak inne branki. Inne pędzą w świat, do Stambułu i dalej, gdzie sprzedają je do haremów. Często przechodzą z rąk do rąk, póki gdzieś nie pozostaną nazawsze. Wy tu zostaniecie, a przecież tu więcej swobody, jak w dużych miastach w zamkniętych haremach. Tu nam wolno przynajmniej chodzić po stepach i wśród namiotów. Tu cieszymy się choć jaką taką wolnością, podczas gdy tam, jak ptak w klatce, choć czasem i złocistej, trzeba czekać ostatecznego końca. Stamtąd żadna nie wraca...

— A stąd można ujść?

— I stąd nie można, ale przecież zawsze można mieć nadzieję, że coś się stanie, że coś zajdzie, co może wpłynąć na zmianę losu.

— A cóż teraz? A cóż narazie? — pytała niespokojna Baśka.

— Tyś Jussufowa i on jeden ma tylko do ciebie prawo. Choć Jussuf ma obowiązek słuchać Achmeta, to przecież słucha tylko wtedy, kiedy chce. Gdy się mu coś nie spodoba, potrafi mu do oczu skoczyć. A Jussuf, choć dziki, to przecież ma serce. Inaczej Achmet. Straszny on i nieubłagany! A wy macie być jego żonami i zająć nasze miejsca... Pierwsza ty — wskazała na Marcysię. — Tydzień dał wam wytchnienia, abyście sił nabrały i wypoczęły. Po tygodniu ty pierwsza pójdziesz do jego namiotu, a potem wy dwie — zwróciła wzrok najpierw na Ksenię, a potem na Hanusię. — I życie potoczy się dalej zwykłą koleją.

Westchnęła Mira, nie wiadomo, czy żałując tego życia, jakie dotychczas było jej udziałem, czy na wspomnienie lat dawnych, które już nigdy wrócić nie miały.

Nim odeszła, radziła jeszcze Mira dziewczętom, aby nie próbowały oporu, gdyż na nic się to nie zda, a może tylko Achmeta podrażnić i przysporzyć im niejednej przykrości.

Po jej odejściu dziewczęta, jak sarny spłoszone, splotły się w jednym uścisku, jakgdyby chciały się bronić wspólnemi siłami przed grożącem im niebezpieczeństwem.

Tak zastał je Jussuf.

Wszedłszy, powitał je skinieniem głowy i złożeniem rąk na piersi, poczem, zwróciwszy się do Baśki, począł szybko mówić:

— Nie ufaj Achmetowi, jak ja nie ufam! Oddał mi ciebie nie z dobroci, ale ze strachu przedemną. Wie on, że gdyby mi cię nie oddał, nie chodziłby dłużej po świecie. Ja i on! Oddał ci mnie, ale po niewoli, a odebrać chciał będzie. Co uczyni, nie wiem, ale popróbuje. A tyś moja i moją będziesz. Moją i tylko moją być musisz.

Mówiąc to, Jussuf pożerał swym wzrokiem dziewczynę. Oczy żarzyły mu się, jak u żbika, pierś falowała i burzyła, ale zbliżyć się do niej nie śmiał, gdyż lęk go jakiś przejmował, aby nie został odtrącony. Nie chciał jej brać siłą, spodziewając się, że weźmie ją z jej zgodą.

— Masz tu na wszelki wypadek, schowaj dobrze — mówił dalej, wtykając jej do ręki błyszczący sztylet — Wrazie potrzeby pchnij, a śmiało! Nie bój się, ja cię ochronię!

Baśka ukryła szybko drogocenną stal za stanikiem. Ucieszyła się nią bardzo, gdyż czuła, że w tem zimnem żelazie będzie miała może jedynego, a najpewniejszego przyjaciela. Spojrzała z wdzięcznością na Tatara, a ten spłonął cały z radości pod jej wejrzeniem.

Baśka prosiła o tak drogocenny dar i dla swoich towarzyszek. Odmówił. Tłomaczył jej, że nie posiada więcej podobnej broni, ale tłomaczenie jego było nieszczere. Poprostu nie chciał bronić wszystkich, aby nie utracić jednej. W każdym razie Baśka i za to była mu wdzięczną. I kto wie, gdyby nie Lipek Ibrahim, który tam pozostał w Jampolu, a za którym ją tęsknica żarła, kto wie, czy nie byłaby mu jeszcze wdzięczniejszą.

Po odejściu Jussufa dziewczęta chciały wyjść z namiotu, aby odetchnąć nieco świeżem powietrzem, ale zaraz od wejścia zawróciła je sroga Tamara. Błysnęła ku nim zębami i nakazała odwrót.

Musiały być posłuszne i przez dzień cały nie opuszczały namiotu. Słyszały tylko z zewnątrz odgłosy mowy ludzkiej, beczenie bydła, lub tętent jeźdźców. Od czasu do czasu zaglądała któraś z żon Achmetowych, aby się przekonać, czy wszystko w porządku.

Nazajutrz skoro świt, zbudził je jakiś żałosny śpiew, który czasami przechodził w kwilenie dziecka, lub w jęczenie wiatru jesiennego w kominie. W namiocie było jeszcze ciemno. Baśka uchyliła nieco płachty namiotu i wyjrzała na pole. W parowie było jeszcze pusto, tylko nad strumieniem, na kupie kamieni, stał tatarski duchowny, zwracał się na wszystkie strony świata i zawodził ową pieśń żałosną, zasłyszaną przez dziewczęta. Pieśnią wzywał wiernych Mahometowi do pierwszej modlitwy porannej.

Jakoż z namiotów poczęli się wynurzać ordyńcy. Ci, co byli bliżej strumyka, obmywali sobie ręce i nogi wodą, inni pocierali twarz, ręce i nogi piaskiem, poczem pierwsi i drudzy rozścielali na ziemi skórę owczą, stawali na niej i modlili się po swojemu. Po modlitwie jedni wskakiwali na konie i pędzili do tabunów i trzód swoich, drudzy szli doić klacze, trzymane w pobliżu namiotów, a inni zbliżali się do roznieconych ognisk, zdejmowali z siebie kożuchy i kaftany i kopcili je nad dymem lub wytrząsali nad

ogniem robactwo, które obsiada ich licznie, gdyż Tatarzy ubrań swych nie zmieniali nieraz tygodnie i miesiące całe.

Tatarki tymczasem kąpały małe dzieci w kałużach, wsypując poprzednio do nich nieco soli, aby skóra stwardniała i zahartowała się.

I o brankach nie zapomniano. Tamara przyniosła do namiotu garnek kozłowego łoju, zaprawionego jakiemiś mocno woniejącemi ziołami i łojem tym dziewczęta pod jej nadzorem musiały się wzajemnie całe ponacierać. Miał to być środek na urodę, na zdrowie i przeciw robactwu.

Achmet pozwolił im potem wyjść na pole, ale pod nadzorem jednej z żon swoich i starego ordyńca, uzbrojonego w broń palną i sieczną.

Dziewczęta ciekawie rozglądały się po obozie, a niemniej ciekawie obserwowali je przechodzący obok nich Tatarzy. Zatrzymywali się przy nich, mlaskali ustami i mówili:

— Ładne giaurki, ładne! Ma rozum Achmet, o ma!

Przybiegali też w pobliże siedzących i mali chłopcy, a zaglądając im w oczy, straszyli, mierząc strzałami z łuku, a ten i ów podchodził i pociągał którąś z dziewcząt za bujny warkocz. Ale wówczas Tamara lub pilnujący Tatarzyn odpędzał napastników.

Czynili to jednak tylko pięcio lub sześcioletni chłopcy, starszych bowiem w obozie nie było. Ci bowiem musieli zaraz zrana iść w step, ażeby pożywienia dla siebie upolować. Matki bowiem nie dawały im jeść, jeno wypędzały, aby sami sobie w szerokim stepie żywności szukali. Brał więc chłopak kołczan ze strzałami na plecy, łuk do ręki, siadał na konia lub pieszo pędził z parowu w parów, przebiegał step, póki nie uśmiercił jakiego ptaka lub czworonożnej zwierzyny. Upolowaną zdobycz zajadał na miejscu i tym sposobem od samego dzieciństwa przyzwyczajał się do wystarczania samemu sobie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



W noc Świętojańską.

Legenda.

Palmy sobótki, bo wieczór krótki —
Niech ogień ze stosu bucha.
Odświeżmy serca, odmłódźmy ducha.
Zwijajmy wianki z róż, macierzanki,
Z zielonej ruty po łące, polnego kwiecia wdzięczne
Niech płyną badać losy milczące (posłanki

Rozbrzmiały pieśni sobótkowe, stos płonął. Dziewczęta ujęły się za ręce i nuciły pieśni, a inni w pląsach przesadzali płomienie. Noc dziwnych czarów, noc tajemnicza, noc duchów, strachów, potworów. W tę noc po lasach zdaje się zza każdego drzewa wyziera demon, który stoi na straży, by człek nie zerwał kwiatu paproci, kwiatu szczęścia. Noc świętojańska przesiąknięta wonią spalonych żywic, noc duszna, parna.

W taką noc świętojańską jedna dzieweczka uboga wybrała się do boru szukać kwiatu paproci. I stąpa cicho po lesie i szuka, ale znaleść nie może. Błądzi daremnie. Do krwi skłóła ręce, nogi, w lesie same ciernie głogi. Boleść rozdziera jej serce. Koło niej pełno duchów z zaciśniętemi pięściami i zębami. Znowu grono boginek otoczyło ją wkoło i szyderczo urągają jej. Dzieweczkę oblał pot, zaczęła się modlić i szukać ścieżki, by jak najprędzej wyjść z lasu. Las zrzedniał i po przez drzewa zobaczyła ognie na wzgórku.

Za rowem przy lesie stała figura św. Jana. Dzieweczka uklękła i zaczęła się gorąco modlić i całować kamienne stopy świętego.

Na pagórku ognie płoną, słyszy śpiew i widzi w tanecznem kole tego, któremu oddała serce, którego ukochała nad życie. On pokochać jej nie może, bo jest biedną i brzydką. On nie chce jej kochać, chociaż wie o tem, że ona go kocha. Wszyscy jej mówią: „Brzydka Józka".

Serce jej przepełniał żal. Oparła rozpaloną głowinę o zimny kamień, na którym stał święty i patrzała w rozpalone ognie. W zaroślach słowik nucił, a pieśni młodzieży — tłumiły słowicze tony. Entuzjazm ludu wzrastał. Józia patrzyła na to wszystko, ale pójść nie mogła, bo była brzydka.

I znów się rozpłakała i zaczęła modlić, by Bóg zlitował się nad nią.

Naraz drgnęła, ktoś ją pogłaskał po głowie i rzekł:

— Wstań, idź i wymyj się w rzece Jesiołce, która obok płynie, a potem idź się bawić na wzgórek do ogni.

Dzieweczka się przestraszyła, bowiem nie spodziewała się tu słyszeć głosu ludzkiego.

Ale św. Jan znów się odezwał:

— Nie lękaj się, ale idź!

Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, śpiesznie pobiegła do rzeki, umyła się i pobiegła do rówieśnic do ogni. Ukazanie się dzieweczki zdziwiło wszystkich, a najbardziej bogatą Wandę, która tańczyła z jej ukochanym. Ta szturknęła ją w plecy i rzekła:

— Pocoś przyszła, ty wstrętna?

A gdy Józia obróciła swoje lica do ognia, olśniła wszystkich, bowiem była piękna, jak kwiat lilji. Zaledwie z głosu poznali niegdyś brzydką Józię. Twarz jej wyszlachetniała, oczy nabrały cudnego blasku, a po śladach ospy nie było znaku. Była bardziej uroczą, niż wszystkie jej rówieśnice.

Skoro zobaczył ją jej ukochany, zapałał do niej głębokiem uczuciem miłości, a nawet stał się dziw, wszystkie dziewczęta, które się z nią witały, stawały się piękniejsze. Jeno jedna nie przywitała się z nią i nie dotknęła jej ręki, to też ta zbrzydła bardzo i znów mówili jej brzydka i zazdrosna Wanda.

Odtąd też ludzie koło Jasła słyną z piękności, a gdy która z dziewcząt jest mniej urodną, ta czeka tylko nocki świętojańskiej, a skoro się w rzece umyje, lub wykąpie, staje się piękna i jasna, jak gwiazda. A gdy zapyta podróżny, kto dał jej ten wdzięk temu ludowi? To nocka świętojańska i woda z Jesiołki — odpowiadają ludzie z Roztok i uprzejmie goszczą czem mogą.

Maryśka z Kamionki.

WIANKI.



Idą chłopcy i dziewczęta z piosenkami idą żwawo...
Za górami, za lasami, złote słońce gaśnie krwawo; wieczór pada czarodziejski, nów wychodzi na błękity i szeroko płynie tonią, jakby okręt srebrnolity.
Idą chłopcy i dziewczęta ze śmiechami wesołemi. Wstaje tuman nad wodami, krzepki zapach bije z ziemi, A dziewczęta niosą w rękach kwietne wieńce i równianki, bo to dzisiaj noc Janowa, bo to dzisiaj: Wianki! Wianki!

Popłynęły kwiaty z wodą, popłynęły w dal, a dziewuchy oczy wiodą za szeregiem fal.
Ach niejedna dziewka miła, jasnolicy cud, w wianku serce swe złożyła na igraszkę wód.
Fale lecą, wianki płyną, a za niemi w ślad na czółenku wód równiną pędzi chłopiec-chwat.
Czy pochwyci kwietny wianek, czy dogoni go? Czy dziewczynę zuch-kochanek zabierze, jak swą?

A na pagórku gawędzą starzy. Coś im się roi, coś im się marzy o dawnych latach, kiedy to życie biegło po kwiatach.
Chwieją głowami rozsiwiałemi, patrzą na siebie oczmi smutnemi.
— Tak, kumie Piotrze!
— Tak, kumie Janie, to, co się stało, już nie odstanie!
A w lasach szumiących zdala od chat zakwita czarowny paproci kwiat. Listkami złotemi, jak zorza, lśni i skarby ukryte wskazuje mi. Ach, któżby uwierzył, gdzie skarby te: brylanty, rubiny marzone w śnie!
Człowieku! W twem sercu klejnoty są..Li spojrzyj, zapragnij, a znajdziesz go.

Or-ot.

Długość życia ludzkiego.

Jeden ze znanych fizjologów utrzymuje, że każdy normalny człowiek winien żyć conajmniej pełne sto lat. Twierdzenie swoje uczony filozof opiera na tem prawie, że wiek każdego ssaka wynosi zwykle pięć razy tyle, przez ile lat dokonywa się jego rozwój i dojrzenie.

Psy i koty wyrastają w ciągu lat dwu, koń potrzebuje na to lat pięciu, wielbłąd — ośmiu, a słoń — czterdziestu. Ich zaś przeciętny wiek wynosi 10, 25, 40 i 200 lat życia.

Rozwój i dojrzenie człowieka nie kończy się jeszcze zwykle przed rokiem 20-ym. Konsekwentnie więc człowiek nie powinien umierać przed 100-ym rokiem swojego życia.

Tylko, że ludzie, choć są jedynie rozumnemi stworzeniami na ziemi, czynią wszystko, by umierać jaknajwcześniej.

Lecz byli i są ludzie pod tym względem mądrzejsi od swoich bliźnich, którzy umieją taki prowadzić tryb życia, by osiągnąć swój normalny wiek, t. j. ponad 100 lat.

Takim był znany filozof grecki, Demokryt, który umarł, mając lat 109.

Anglik Middeltens umarł w r. 1792, w wieku lat 112. Norweg Dakenberg, mając 111 lat był jeszcze czynnym żołnierzem w angielskiej marynarce. Ponieważ zaś w tym wieku tego rodzaju służba nieco go męczyła, prosił o zwolnienie i... ożenił się. Mając lat 130 został wdowcem, ale nie dał za wygraną i chciał ożenić się poraz drugi, tylko wybranka jego serca odmówiła mu swej ręki.

Szczęśliwszym był jego rodak, Józef Serwington, bo gdy miał 160 lat, żyła jeszcze jego żona. Gdy zaś czuł już bliski swój koniec, zebrał dokoła siebie żonę i wszystkie dzieci, powiedział im swą ostatnią wolę i spokojnie umarł. Najmłodsze z jego dzieci miało wtedy lat 9, najstarszy syn lat 103.

Kardynał Armagnac opowiadał, iż przechodząc pewnego dnia ulicą, zauważył siedzącego przed domem starca, który gorzko płakał. Na zapytanie kardynała, co mu się stało, starzec odpowiedział, iż przykro mu jest bardzo, gdyż ojciec jego źle się z nim obszedł dlatego, że on nieodpowiednio się zachował

wobec swojego dziadka. Płaczący wnuk miał 82 lata, ojciec 103, a dziadek 123.

Opowiadają również o pewnym Angliku, Tomaszu Parre, którego hr. Surrey przedstawił królowi Karolowi I-mu. Parre miał już wtedy 152 lata. Na zapytanie króla, co on robił, by dożyć tak późnego wieku, Parre odpowiedział: „Jadłem mniej, niż inni ludzie". Chcąc uczcić najstarszego ze swoich poddanych, król zaprosił go do siebie na obiad. Po obiedzie królewskim Parry w nocy zmarł na niestrawność żołądka, który nie był przyzwyczajony do tak obfitego i wyszukanego posiłku. Radykalnym więc środkiem na odmłodzenie człowieka i zapewnienie mu matuzalowych lat jest: rozum i panowanie. Lepsze to i pewniejsze, niż wszelkie podejrzane operacje.



— Powiadają starzy ludzie — ciągnął Bartek na trzecią niedzielę opowiadanie o swojem kiełbasianem płocie — powiadają ludzie, że nie trza wierzyć koniowi z tyłu, a z przodu strzelbie, a zasie ze wszyćkich stron babie-szelmie i mnie się widzi, że powiadają słuśnie. Bo kuń, choćby był łagodny i rżał do ciebie, to najniespodziewaniej może cię fiknąć kopytami; strzelba, choć jesce cichsa, to ani się spostrzeżes, kiedy z swojej dziurki może kulke na ciebie puścić, a baba, to wiadoma rzec, że ma osiemnaście sposobów, aby ino człowieka ugryźć. A juz co do języka, to jesce nikt nie widział takiego babskiego języka, żeby się przed nim można było ustrzydz. Najniepotrzebniej wylizie wtencas, kiedy powinien najgłębi we wnętrznościach siedzieć.

— Wiedział tez i ów Maciek — ciągnął Bartek dalej, — że baba jego sekretu nie utrzyma. A choćby jej gębę zamurował, toby ona ten sekret jaką inksą dziurką wypuściła, żeby jej nie rozsadził. Posedłsy tedy Maciek na drugą noc do stodoły, wydobył owe pieniądze i zakopał w inksem miejscu i nie omylił się na swoich przewidywaniach. Zgoda między nimi nie długo trwała, baba gwałtem dopominała się pieniędzy, chłop dać nie chciał, bojąc się, żeby baba nie wydała sekretu przed kumoskami przez ich lekkomyślne używanie.

— Nie das! — zawołała raz na chłopa w największej złości.

— Nie dam! — pada chłop spokojnie.

— Więc cekaj psi osmędku — rzece baba — ani ty ich miał nie będzies, ani ja! Pójdę do pana i powiem wszyćko — i wyleciała jak oparzona do dworu.

Pan, wysłuchawszy babę i schowawszy ją za piec, posłał po Maćka. Maciek wiedział już, co się święci i sedł spokojnie.

— Słuchaj Maćku! — rzekł pan do niego — słyszałem, żeś wykopał pieniądze i nie powiedziałeś mi nic o tem!

— Miły Boże! — odpowiedział chłop — przydałyby mi się bardzo, bo już nie mogę sobie dać rady z biedą, ale gdzies tam, panicku, nie zdarzy się to biednemu człowiekowi. Wiem ci ja, wiem, kto to panickowi powiedział.... bo jej to juz nie pierwszyzna, juźci to nie kto inny, ino moja kobita gadała o tem, która mi juz od dzisiaj ogłupiała i cudowne rzecy wyprawia i wygaduje. Ja juz dawno wybierałem się do panicka, podziękować za gospodarstwo, bobym wypsiał na niem dłuzej z kobietą niespełna rozumu.

— A bedzies ty mnie w taką niepoćciwą suknie obłócył — krzyknęła baba na chłopa, wylatując z zapiecka. A cegójze się zapiras? A nie pamiętas to juz, kiedy to było? A toć wtedy, kiedyśmy to, idąc do wieńcierzy, zastali dróżkę zagrodzoną kiełbasianem płotem; a nie jadłeś potem tych kiełbas ze mną, jakie dwa tygodnie — he?

— Boże odpuść kobieto, przecie się upamiętaj, a takich głupstw nie wygaduj, bo się ino ludzie będą śmiali z ciebie.

— No cekaj — odrzekła baba — ja ci Maćku zaraz przypomnę. — To było wtencas, kiedym ptaka w wieńcierzu złapała we wodzie... Jesce nie pamiętas?... A przypomnij no sobie, to były przecie dziwy, bo w ten sam dzień ryba złapała się na sidła... Co, nie bacys?...

— Widzi jegomość — przerwał Maciek — co to cłek musi wytrzymać biedy po całych dniach z taką babą.

— O bodaj cie tez juz nie wiem co wzięło, kiedy się zapiras — wyrwała się znowu baba — 'a dyć ja panicykowi jesce powiem, kiedy to było, to sobie panicyk zaraz przypomni... To było wtencas, kiedy to pod wiecór cuchnący dysc padał...

— Idźże już sobie babo! — zawołał pan zniecierpliwiony i wypchnął babę za drzwi.

Chcąc się jednak już całkiem upewnić, że baba łgała, posłał ludzi do stodoły Maćka i kazał ją całą skopać. Ale gdy tam nic nie znaleźli, utwierdził się w tem, że baba zwarjowała.

Maćkowi było w to graj, to tez i sam we wsi opowiadał, że Ponbzus dopuścił na niego niesczęście, a ludzie znając Maćkową babę z głupstw i złości, uwierzyli łatwo, że to jest prawda. Bojąc się jednak, aby się to wreście nie wydało, podziękował za gospodarstwo pod pozorem, że mu nie może poradzić, mając głupią żonę i wyniósł się w dalekie strony, a kupiwszy tam piękny kawał ziemi, wziął babę więcej na wodze i żył potem z nią scęśliwie jaże do samej śmierci.

Skończył Bartek, a że się nikt nie odzywał, ino każdy rozmyślał, jakby to swoją połowicę równie skutecnie utemperować, tak tedy Jagustynka powiada:

— No i wicie chłopy, że i baba potrzebna! Jakby nie Maćkowa baba, toby Maciek klepał bide na pańscyźnianem polu. A tak, to dziedzicowi za grunt podziękował i kupił se same swoje gospodarstwo.

Nikt się na to nie odezwał, bo i co było gadać z taką Jagustynką, ale nazajutrz kuźdy, jak wyjechał w pole orać, to orał głęboko i nasłuchiwał, cy tam gdzie pług nie charaśnie o jaki garnek z piniądzmi.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Chiny II.

Jakkolwiek historja Chin ciągnie się od potopu świata aż po dzień dzisiejszy, jakkolwiek wśród mieszkańców tego olbrzymiego państwa znać przebłyski wysokiej cywilizacji, uprzedzającej w wielu razach cywilizację europejską, jaka była zapewne przed potopem, o ile oczywiście była. Chińczyk uczy się, kształci, wpycha w siebie wiadomości, ale się nad nimi nie zastanawia, nie bada ich pozostaje więc nawet po najdłuższych latach pracy umysłowej takim nieukiem, jakim był poprzednio.

Społeczeństwo chińskie nie posiada fantazji, porusza się według przepisu i dawnego zwyczaju, bez poczucia własnej woli, a więc idzie niejako za podmuchem wiatru. A jeżeli znajdzie się jakaś jednostka, która odstrzeli swą inteligencją od ogółu, to może tym ogółem na wszystkie strony kierować. Chińczyk nie posiada zdolności do żadnych cnót. Grzeczność, uprzejmość zastępują cnotę poświęcania się dla drugich. Grzeczny Chińczyk chodzi pochylony ku przodowi, aby był gotowy do ukłonów, brak mu wszelkiego głosu sumienia ,jakby był bez duszy.

Brak u nich już nietylko fanatyzmu religijnego, ale nawet większej religijności. Ma, choć rzadkie, swoje świątynie i swych bonzów, którzy się za niego modlą. Bonzowie ci przypominają katolickich zakonników. Mają oni głowy golone, ruchy poważne i ascetyczną nieco powierzchowność, ubierają się zaś w szerokie białe szaty. Częste zginanie kolan i dotykanie czołem ziemi, liczne modlitwy, odmawiane posępnym i jednostajnym tonem, paciorki drewniane lub koralowe, nawleczone na nitkę i trzymane przez nich w ręku niby różaniec, odgłos dzwonów, od czasu do czasu rozlegający się w ich siedzibie, tudzież mnóstwo innych drobnych szczegółów, nadaje im pewną cechę podobieństwa do mnichów. Przełożony, jeżeli przewodniczy ważniejszym obrzędom ich kultu, przywdziewa szeroką białą kapę, ozdobioną złotym haftem, na głowę wkłada sobie mitrę, w ręku zaś



Wejście do bonzerji w Ku-shan.

trzyma długą laskę, przedstawiając w ten sposób niby karykaturę katolickiego biskupa. Mają także bonzowie pewien rodzaj wody święconej i kadzielnice, a nawet od czasu do czasu odprawiają procesje, podobne do naszych. Nadto obowiązani są do bezżeństwa.

Liczne powyższe rysy podobieństwa pomiędzy życiem bonzów i chrześcijańskich mnichów każą przypuszczać, że Chińczycy wiele rzeczy przyswoili sobie w Indjach od uczniów św. Tomasza, albo od zakonników nestorjańskich, którzy w VI wieku nawracali Chiny na wiarę Chrystusową. Możliwem też jest, że nawet wówczas Chińczycy przyjęli wiarę świętą, ale później o niej zapomnieli, zachowując tylko w życiu bonzów niektóre pozostałości po mnichach chrześcijańskich.

Bonzowie chińscy mieszkają sobie jednak wcale nie po pustelniczemu, jak to widzimy na naszym pierwszym obrazku, przedstawiającym wejście do bonzerji w Ku-shan. Jest to prawdziwy pałacyk, pełen uroku i światła, otoczony cały zielenią.



Chińscy genjusze w Ku-shan.

Chińczycy mają również klasztory na na wzór katolickich. W Tybecie n. p. istnieją buddyjskie klasztory, czyli tak zwane lamazerje, liczące po 5 do 10 tysięcy lub nawet 20 tysięcy członków. Jaki jest początek tych klasztorów i czem należy sobie wytłumaczyć ich szalony rozwój, na to trudno odpowiedzieć.

Obok klasztorów, albo tylko zwykłych bonzerji wznoszą się świątynie chińskie, czyli tak zwane pagody. Nie są one w niczem podobne do świątyń katolickich. Są to jakieś budynki groteskowe, przypominające więcej swym wyglądem cacka do zabawy, aniżeli przybytek Pański. Niejednokrotnie wejścia do nich zdobią dziwaczne malowidła lub jeszcze dziwaczniejsze rzeźby.

Na drugim naszym obrazku widzimy dwa takie posągi, przedstawiające genjuszów, znajdujących się u wejścia do pagody w Ku-shan. Chińczycy czczą ich na równi niemal z Buddą i uważają ich niejako za półbogów.

Wydziedziczona.

Powieść sensacyjna opracowana dla „Roli" przez K. L.

Pani burmistrzowa imieniem komitetu — złożyła Izie podziękowanie oraz honorarjum zawarte w małej misternej szkatułce.

Iza przyjęła podziękowanie, lecz szkatułkę wraz z zawartością ofiarowała na biednych miasta Leasburga, wręczając ją z powrotem burmistrzowej.

Teraz uznaniom i okrzykom nie było końca...

Iza szczęśliwa ale i bardzo umęczona, przyjęła gościnę w domu p. burmistrzostwa.

40. Spotkanie.

Cicho spokojnie w cmentarnem niby odosobnieniu przeżywała dni swoje Mary, nieszczęśliwa małżonka Johna Goulda, czyli Nordena.

Ogromne, światowe miasto Nowy Jork, nie miało siły przygłuszyć jej bólu po stracie drogiego ojca.

Z krewnymi ani też znajomymi nie schodziła się.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Już nadchodził wieczór.

Smutna, roztęskniona Mary, siedziała w swoim pokoiku. Oczekiwała powozu, który miał ją powieźć na codzienną, wieczorną przejażdżkę.

Dawną służbę odprawiła. Zostawiła sobie ludzi starszych, mołamównych, którzy umieli uszanować jej smutek...Usłyszała, że powóz zajechał przed portal wspaniałego jej domu.

Szła na dół. Sień była oświetlona słabo. W zadumaniu elegijnem stąpała biedna miljonerka po wspaniałych schodach.

Nagle...

Czy mara Nordena stanęła jej przed oczyma?

Na dole przed schodami stał jej mąż — John Gould i wyciągał do niej ręce...

Krzyknęła, ale nie słyszał nikt jej głosu.

Norden przystąpił do niej i poprowadził napół zemdlałą do drzwi.

Oglądał się dokoła. Nie widział go nikt. Stanął w jej komnacie tak dobrze mu znanej.

Ocknęła się z odrętwienia.

A więc nie był to duch, to był żywy człowiek — on sam — Norden — w jej komnacie.

Ze strachu, postradała władzę zmysłów.

Długa upłynęła chwila nim odzyskała przytomność.

— Precz morderco mojego ojca, były pierwsze jej słowa, zwrócone do Nordena.

— Jestem niewinny, przysięgam ci Mary.

— Znalazłam przecie zakrwawioną koszulę pańską i sztylet w szufladzie pańskiego biurka.

— Tam je wetknęła inna osoba!

— Któż taki?

— Kobieta, która mię prześladowała swoją miłością zbrodniczą wszędzie.

— Mówisz pan o mojej dawniejszej damie do towarzystwa, o pańskiej żonie?

— Nigdy nie była moją żoną.

I tu opowiedział jej, że dawna jego kochanka, przybyła z Niemiec, za nim, ze swoim obecnym umiłowanym i dowiedziawszy się o jego szczęściu; stanęła na drodze jego życia i postanowiła go zgubić... W tym celu, starała się dostać do jego domu, aby mieć wszędzie dostęp wolny i wraz z swoim obecnym kochankiem, zamordowała ojca Mary...

— Dlaczegóż pan uciekł, jeśli winni byli inni? — zawołała Mary.

— Bo nie miałem ochoty siedzieć we więzieniu śledczem, a musiałbym był siedzieć, gdyż wszystko skierowało się na moją niewinną głowę.

— Ale cóż znaczy skrwawiona koszula i sztylet pański?

— Przecież ta osoba miała dostęp do wszystkich pokojów, klucze były w jej ręku.

— A pańskie imię — John Gould — cóż to znaczyło? — zapytała ponuro.

— To rzecz jeszcze najmniejszej wagi.

— Zaplątałem się był w swoim czasie w polityczną agitację w Niemczech. Musiałem uciekać. Później poznałem swój błąd. Ale w Nowym Jorku było mnóstwo Niemców, którym znane było moje imię. Czyż miałem się narażać na ich prześladowanie? Zmieniłem nazwisko. Zresztą Gould, — to panieńskie nazwisko mojej matki.

Po długich tłómaczeniach i błaganiach ze strony Nordena, łatwowierna Mary uwierzyła byłemu swemu małżonkowi i rzuciła mu się w objęcia, otrzymawszy od niego przysięgę, że jest niewinny.

Ponieważ w Nowym Jorku nie mógł na razie przebywać, dopóki się nie uwięzi właściwych morderców, wyjechali więc do Dalboury, do wiejskiej posiadłości Mary.

Kiedy znaleźli się u celu, Mary rzuciła się na szyję mężowi i odezwała się doń z wyrazem szczęścia:

— Tu jesteś zupełnie bezpieczny. — Służba tutaj nie wie nic o dawniejszych zdarzeniach. Stary sługa, a zarazem woźnica, kucharka i młoda dziewka — oto cały personal służbowy, który przebywa tu na wsi. Nie ujrzą ciebie nigdy postaram się o to.

— A cóż będzie z jedzeniem? Dla ciebie to przecie ogromna niewygoda!

— Będziemy jeść oboje, kochany. Ja cię będę obsługiwać. Jestem przecie twoją żoną i mam do tego zupełne prawo, nieprawdaż.

— Więc jestem twoim więźniem, — a ty moim stróżem, żartował Norden.

— Nieprawdaż, ty zostaniesz wiecznie przy mnie?

— A co będzie z podejrzeniem?

— Da Bóg, pokaże się wkrótce twoja niewinność. A świat ciebie nie obchodzi wcale.

— Ależ pewnie!

— Uważ najdroższy, ja pragnę żyć tylko dla ciebie, chcę ci przynieść raj na ziemi, chcę osłodzić całe twoje życie!

Całowała, pieściła go, co miała mocy.

Przyjmował to wszystko łaskawie.

— Jakże mam cię wołać: John czy Artur? — zapytała uśmiechając się miło.

— Nazywaj mnie drugiem imieniem, — odparł delikatnie.

— A więc Artur! Ono mi się lepiej podoba, aniżeli John. A więc Arturze, drogi, ukochany Arturze idę na chwileczkę do służby, aby wydać zarządzenia...

— No, to mi się podoba, — pomyślał Norden. Z taką kobieciną łatwo przyjść do porozumienia. Dowiem się, czy ma w willi większą sumę pieniężną, a potem dam sobie radę...

A Mary umiała osładzać tymczasem godziny powrotu ukochanego — drogiego — złotego — i t. d. mężulka...

41. Na zamku Wielhorskich.

Gęsta mgła poranna wisiała nad skałami otaczającemi wielkim łukiem zamek hrabstwa Wielhorskich.

Nadchodziła jesień wielkim krokiem. Smutno, ponuro... Smutne też były myśli pana zamku, od kiedy utracił, co miał drogiego. Żył w osamotnieniu.

Sąsiedzi żałowali go.

A on cierpiał srodze pod ciężarem wyrzutów z powodu odtrąconej swojej córki. Widział jej obraz przed sobą ciągle. Daremnie rozsyłał często jeszcze po tej strasznej nocy gorzkiego rozstania swoją służbę za biedną dzieciną — nie znaleziono jej. Ślad nawet przepadł.

Obiecał ogromną nagrodę za jej odszukanie — nie pomogło nic.

Siedział samotny. Dawno już przebaczył jej winę. A ona może już nie żyje... Przepadła gdzieś w śniegach z dzieciną. Straszna, złowroga myśl.

A przecież czasem spodziewał się.

Drzwi się otwarły, wszedł sługa, położył torbę pocztową.

— Rozkaże wielmożny pan hrabia, co jeszcze?



— Rozkaże wielmożny pan hrabia, co jeszcze?

— Nie, możecie odejść, Janie!

Otworzył torbę.

Zwyczajna korespodencja w sprawach dóbr, czasem zabłądził list jakiego starego druha — wasala z dawnych dobrych czasów...

— A to co? List z Ameryki? — zdziwił się pan hrabia.

Przed nim leżała koperta z adresem, pisanym ręką widocznie niewprawną.

Otowrzył list, wypadł arkusz doszczętnie, zapisanego papieru. Był to list od dawnego sługi swego Jacka Antały, który donosi o spotkaniu hrabianki Izy i o jej nieszczęśliwem położeniu...

Hrabia przeczytał ten straszliwy list, jak jaki wyrok śmierci na swą siwą głowę.

— Co ona tam biedna musiała wycierpieć! Jego niegdyś pociecha, duma, bóstwo!

Łzy gorące — ojcowskie potoczyły się po surowem a pięknem obliczu magnata...

Potem przyszedł do siebie. Zawołał służącego.

— Pakować zaraz parę kufrów w dłuższą podróż. Ty pojedziesz ze mną. Wyruszamy jeszcze dzisiaj wieczorem z zamku.

Stary sługa chciał już wyjść z pokoju, kiedy hrabia doń przemówił tak:

— Janie! Służyłeś mi dużo lat i to wiernie. — Przebyło si ęzłe czasy i dobre. Ale teraz ma być lepiej. Mamy przed sobą drogę daleką. Do Ameryki!

— Do Ameryki?

— Tak. Przywiozę sobie stamtąd kogoś — kogoś — tyś go nosił na rękach, Janie!

— Jezus — Marja! Czy nie jasną pannę Izę?

— Tak, Janie. Z Bożą pomocą przywieziemy ją do domu.

* * *

Pyszny szybkparowiec salonowy miał jeszcze 24 godzin drogi do Ameryki.

Na nim znajdował się hrabia Wielhorski, ze swoim wiernym sługą.

Stary hrabia przechadzał się z jakimś bogatym Amerykaninem.

Dużo niemiłych rzeczy dowiedział się od niego. Zapłonął strasznym gniewem, kiedy usłyszał, że Artur Norden czyli John Gould, oczywisty zbrodniarz, ożenił się po raz drugi z Mary Smith i zamordował jej ojca.

Dalej dowiedział się, że Norden umknął i że wprawdzie go schwytano, ale on wyrwał się powtóre.

Gdzie znajduje się Iza nie umiał Amerykanin nic powiedzieć.

Hrabia postanowił panią Mary odwiedzić, zaraz po przybyciu do Nowego Jorku.

Parowiec spieszył znakomicie; niedługo też przybył do miejsca przeznaczenia...

Gdy tylko hrabia przebrał się po podróży, udał się natychmiast do pani Mary.

Zastał ją w domu, ponieważ wróciła do miasta i przebywała tu już od dwóch dni, aby nie wzbudzać u służby podejrzenia.

Naraz zgłoszono odwiedziny.

— Hrabia Wielhorski z Wielkopolski, — przeczytała zdziwiona.

Aha! słyszała już to nazwisko! To Iza lubiła zwać siebie Wielhorską.

No, szczęśliwy wypadek. Teraz dopiero dowie się o zbrodniarce nowych, ciekawych szczegółów.

Pospieszyła sama naprzeciw gościa.

— Przepraszam panią mocno — rzekł hrabia grzecznie, — przepraszam, że przychodzę do pani w niemiłej dla niej sprawie. Spodziewam się jednak od pani potrzebnych mi wiadomości o złoczyńcy, który panią również obchodzi...

— O kim mowa, panie hrabio?

— O Arturze Nordenie, łaskawa pani.

Mary drgnęła. Ledwie, że się nie zdradziła.

— Myli się pan hrabia. Artur Norden jest moim mężem, — rzekła stanowczo.

— Więc pani tego nędznika nazywa ciągle mężem? — zapytał hrabia urażony.

— Proszę pana hrabiego posłuchać mnie i opowiedziała bajeczkę Nordena o mieszczańskiem pochodzeniu Izy i o morderstwie popełnionem przez nią...

Hrabia przerażony wyjął fotografję Izy z lat dziewiczych i podał ją Mary mówiąc:

— Oto portert mojej córki z lat dziewiczych, — rzekł.

— Tak to ona. Zmieniła się mało.

Oddała mu fotografję z dziwnem uczuciem.

Byłże więc jej gość prawdziwym hrabią Wielhorskim?

Może to oszust jaki?

— Nie wiem, co tam naopowiadano pani o mojej córce, — rzekł hrabia z godnością. — Jeśli jednak pani wątpisz o prawdziwości moich słów, to udam się do konsulatu naszego państwa, pan konsul N... jest moim osobistym znajomym i przyjacielem z młodych lat.

— Ależ proszę — wierzę panu hrabiemu zupełnie, — rzekła Mary zakłopotana.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Na Turbaczu.

(Turbacz najwyższy szczyt Gorców 1311 m.)

Zbliżał się wieczór. Krwawa kula słoneczna staczała się coraz niżej po błękicie, znacząc ognistą łuną swój szlak, aż wreszcie stanęła gdzieś za Luboniem, zaśmiała się szczerozłotym śmiechem ku kobiercowym halom Turbacza, spowijając nasze grono w promiennej poświacie. Myśmy leżeli obok siebie cisi, wsłuchani w szmery zbliżającego się wieczoru, w muzykę koników polnych, posyłając ostatnie spojrzenia na panoramę Tatr gasnącą nam wraz z słońcem: podczas gdy serca nasze kołysały do sennych marzeń pobrzękiwania dzwonków trzody.

Jeszcze ostatni błysk słońca na „dobranoc" i niebo przechodziło zwolna w ciemny lazur z przycieniem atłasowego fjoletu — a potem cisza... przerywana szmerem strumyka bełkotającego gdzieś wśród kamieni, i od czasu do czasu suchym gardłowym głosem starego bacy.

Teraz umilkł. Siedział przy ognisku pod szałasem. Twarz jego sucha, koścista, nos orli, usta zaciśnięte wyrażające silną wolę i energję. Patrzył gdzieś w bezkresową dal ku szczytom ku wysmukłym smrekom, które mu szumiały pieśń wieczorną, ku rozłożystym, brzemiennym od woni wieczornej halom. Uroczysta to była cisza. Baca stary ostatni raz spozierał na ten swój ukochany szczyt. Jutro trzeba zejść w niziny: wiek podeszły nie pozwala pełnić mu zwykłych obowiązków, trza zostawić miejsce młodszemu, — hej! Załkało mu serce w piersi. On co tu tyle lat patrzył na te bieluchne owieczki, na to słonko, które mu teraz tak krwawo zaszło, na ten szczyt, który go przygarnął jako dziecię, a odtrącił jako starca, na bór, z którym tyle lat gadał, którego pogwarów słuchał, on teraz musi to wszystko opuścić.

Bolesny skurcz przebiegł mu przez lica, westchnął głęboko i smutnie pochylił głowę, jakby nowy ciężar wieku przygniótł mu i tak zgięte od starości barki. Lecz wkrótce spojrzał na nas weselszym wzrokiem i rzekł:

— Ale cłek się zamyśloł, a panockowie się tu nudzą?

A potem:

— Jaugustyn — zawołał — puść się w zbójnickiego

Myśmy czemprędzej utworzyli koło, do którego wszedł młody juhas w kierpcach z zawadjacko włożonym kapelusikiem na głowie. Niedługo rozległy się tony ustnej harmonijki i góralczyk zaczął tańczyć. Naturalnie, że w swojej wyobraźni zamieniłem juhasa na Janosika, nas na zbójców leżących wkoło ognia a starego bacę na jakiegoś patrjarchę-zbójnika rozdzielającego łupy.

Góral tańczył. Oj ten taniec odzwierciadlający krewkość i orlość górali. Naprzód drobnym krokiem posuwał się naprzód, potem coraz prędzej, aż wreszcie ciało jego ogarnęły jakieś namiętne drgawki szybsze zda się od słów — myśli. Złożywszy nogi w kształcie iksa, podniósł się jak sprężyna w górę, spadł, i znowu w innej formie jak ryś podany naprzód w przysiudach biegł wkoło ogniska: zda się nie widział nic, oczy zmrużył, ogarnął go jakiś dziki szał: choć płuca mocno waliły, choć pot lał się po twarzy, on nie ustawał i znów to drobno — skok — okręt w powietrzu, aż wreszcie ochłonął nieco, biegł wolniej, dodając sobie śpiewem taktu:

Jus jasny miesiącek na niebiosach stoi
Jo jesce nie poseł do dziewcyny moji

Znów powtórzył taniec z wszystkiemi zawrotnemi figurami, poczem znowu śpiewał:

Jus nie bede chodził do niej ku tej sośnie
Bo ji...

— Zmilcys bestyjo! — huknął baca.

W swojej młodzieńczej skromności nie domyśliliśmy się i nie chcieli domyślać, co on tam śpiewał, a zresztą nowy śpiew zagłuszył ostatnie słowa:

Jęcą Tatry jęcą
Bo Janicka męcą!
Jesce jęceć bedom
Gdy go wisać bedom —

Tu krok stał się powolnym. Twarz juhasa spoważniała, jakby posmutniał; a i melodja organek jakaś była smętna, posępna, drgająca nutą dawnej bolesnej tragedji. Okrążywszy jeszcze kilka razy nasze koło, juhas zziajany usiadł na ziemi.

* * *

Na drugi dzień rano spojrzałem z domu na góry, na Turbacz. Dzień był pochmurny, deszczowy, niebo blade, anemiczne. Z nad gór unosiła się mgła w gęstych tumanach. Turbacz stał cichy, posępny, patrząc na niego, mimowoli szepnąłem:

Hej Turbacu Turbacu, cóżeś tak osowiał
Hej cy cie mgła dosiadła, cy cie wiater owiał?

Płakały góry, płakał Turbacz: nie było starego bacy, nie było... *Barnaś Kazimierz.*



Noc świętojańska.

Inna jak inne, więcej w każdym kroku
Czaru się zlewa, — więcej w niej uroku.
Zboża wśród roli dziś więcej srebrzyście —
Grają symfonję dziwnie uroczyście.

Księżyc inaczej oświetla hen z góry,
A las tak ciągnie... choć straszny, ponury,
Ach ten las dzisiaj uroczej dziś śpiewa
Majestatycznie zaklęcia wygrywa.

Noc ta kryjąca w sobie tyle czaru...
Pełna snów złotych, kaskady nektaru...
W tą noc jedynie na chwilę się złoci
Ukryty zawsze, szczęścia kwiat paproci.

Bądź tam, — jedyna. Bądź tego wieczoru,
Słuchać będziemy dziwnych zaklęć boru...
I tam pod wpływem tajemniczej mocy
Spoi nas urok świętojańskiej nocy.

Franciszek Maciol.



Poradnik gospodarczy.

O pojeniu domowych zwierząt.

Nastaje coraz cieplejsza pora, a jak można się spodziewać, przyjść mogą wkrótce nawet wielkie upały. W czasie upałów trzeba większą zwracać uwagę na pojenie bydła, aniżeli w porach chłodniejszych. W dniach gorących bydlę musi mieć wody pod dostatkiem w przeciwnym razie staje się słabe, trawienie nie odbywa się prawidłowo i rozmaite nawiedzają je choroby.

Przy zwykłych warunkach potrzebują zwierzęta dziennie, włącznie z wodą zawartą w paszy, mniej więcej jedną dziesiątą część wody, znajdującej się w ich ciele. Jak stwierdzono, po zjedzeniu dwóch funtów siana wypija owca nie więcej, jak trzy funty wody. Natomiast, jeżeli zje tyle paszy zielonej, ile w dwóch funtach siana zawartych jest substancyj suchych, mniej więcej 8 funtów, to ma już tem samem jeszcze pragnienie. Polega to na tem, że w czasie, gdy zwierzęta jedzą paszę zieloną, pragnienie ich jest większe, aniżeli, gdy jedzą paszę suchą.

Wodę, zawartą w paszy, gromadzącej się w roślinie podczas jej rozwoju i rośnięcia, nazywamy wodą wegetacyjną. Tak ta woda, jak i ta, którą zwierzęta piją, służy na zaspokojenie pragnienia.

Zbyt wielka ilość wody wywiera u zwierząt szkodliwy wpływ na wyzyskanie paszy. Woda zmienia się w zanadto wielką ilość białka i niezużytkowana wychodzi z moczem z ciała, podczas kiedy mogła być spotrzebowana, gdyby zwierzęta nie piły jej tyle. Pragnienia rosnących i tuczących się zwierząt nie należy zatem zwiększać dawaniem za wielkich porcyj soli — dzieje się to czasem celem zwiększenia apetytu zwierząt, przeznaczonych na tuczenie, ale nie należy zapominać, że tym sposobem nie wyzyskuje się dostatecznie paszy. Konie i woły, pracujące ciężko, nie powinny pić zawiele wody, pocą się bowiem łatwo i nie są wytrzymałe.

Przeciętnie potrzebują owce na 1 funt suchej paszy dwa funty wody, konie dwa do trzech funtów, bydło cztery do pięciu, świnie zaś siedm do ośmiu funtów wody. Czy się daje wodę samą, czy, jak to zwykle, świniom, daje się wodę zmieszaną z paszą, to o to nie chodzi. Według obliczeń powinien koń przy suchej paszy wypić przeciętnie dziennie 40 do 70 funtów wody, bydło od 60 do 100 funtów, a owce 3 do 6 funtów.

Przy paszy zielonej nie potrzeba dawać tyle wody, trzecia lub czwarta część wymienionej ilości wystarcza zupełnie.

Przy pojeniu dojnych krów należy postępować inaczej, aniżeli przy pojeniu bydła młodocianego i tucznego. Wiadomo ogólnie, że krowy, pobudzone do picia wielkiej ilości wody, dużo dają mleka. Ale dla wytworzenia tej wielkiej ilości mleka potrzebują też krowy dużo białka, koniecznego dla wytworzenia mleka, muszą więc dostawać paszę obfitą w białko. Jeżeli takiej paszy nie mają, a mimo to wiele piją wody, to z powodu braku białka, chudną i opadają na siłach. Odnosi się to mianowicie do krów, dających dużo mleka.

Wkońcu nadmienić należy, że konie, przeznaczone do szybkiego biegu, mało wody pić powinny; należy je zwolna przyzwyczajać do tego, aby się mniejszem zadowalały porcjami.

Żywienie cieląt.

Błędy w żywieniu cieląt są nie do odrobienia. Cielę zbiedzone w młodym wieku, nie da się wychować na krowę dobrze rozrośniętą. Dlatego równomierne żywienie, stopniowe przechodzenie z mleka na paszę suchą, powolna zamiana jednych pasz na drugie są tak ważne.

Pierwszym, często popełnianym błędem, jest niedawanie siary po urodzeniu.Jest to pierwszy naturalny pokarm cielęcy. Siara zawiera składniki działające przeczyszczająco, które usuwają kał, nagromadzony przez okres życia w łonie matki, czyli tak zwaną smółkę. Prócz tego jest w siarze dużo łatwo strawnego białka.

W pierwszych dniach po urodzeniu nie należy zbyt szybko powiększać ilości mleka, gdyż cielę może się łatwo przessać. Do trzech tygodni należy dawać tylko mleko pełne, a dopiero potem można zmienić je na zbierane. Ale zamiana ta musi być powolna, stopniowana.

Aby cielę wynagrodzić za brak tłuszczu w mleku zbieranem, można dawać lniane siemię, makuchy lub śrutę owsianą. Do trzeciego miesiąca dodawać je należy do mleka, a nie do wody, w późniejszym zaś wieku lepiej dawać paszę treściwą na sucho. W każdym bądź razie do czasu ukończenia dwóch, a lepiej trzech miesięcy, głównym pokarmem musi być mleko. Kto stara się je zastąpić poidłami, w których główną częścią płynną jest woda, ten cielę i samego siebie oszukuje.

Gdy cielę skończy miesiąc, powinno dostawać jak najlepsze siano, z chwilą zaś zmniejszenia dawki mleka, owies i nieco makuchu. Stopniowe odzwyczajanie od mleka powinno trwać przez trzy tygodnie.

Bardzo wielkim błędem jest niedawanie paszy treściwej cielętom do roku. Nawet przy doskonałem sianie łąkowem, lub z koniczyny, czy saradeli dawanem obficie, cielę takie nie może się normalnie rozwinąć bez dodatku owsa, otrąb, jęczmienia lub innych pasz treściwych, które należy wówczas dawać w ilości 4 funty na sztukę dziennie.

To samo odnosi się do pastwiska w lecie. Przy dobrem nawet pastwisku trzeba dodawać paszę treściwą.

W drugim roku jałowizna może być żywiona oszczędniej. Jeżeli jednak nie dostaje większych dawek siana, to i tu dodatek paszy treściwej jest konieczny, w ilości 4—6 funtów na sztukę.

Poradnik kucharski.

Befsztyk surowy. Potrzebną ilość pieczeniowego mięsa, zeskrobać nożem, osolić, opieprzyć, dodać tartej cebuli i sporo oliwy, wymieszać dobrze i robić maleńkie kotleciki: podać je przy śniadaniu lub przy herbacie do smarowania na bułce.

Befsztyk dla chorych. Ze skrobanego, osolonego mięsa, robić malutkie gałki i rzucić na wrzące masło, a gdy się po wierzchu usmażą (w pośrodku powinny być surowe) włożyć je na wygrzany talerz płaski i przycisnąć drugim talerzem również wygrzanym, a skoro puszczą z siebie sok, podawać. Są one bardzo strawne dla chorych, którym wołowe mięso jeść polecają.

KRONIKA.

Od Administracji. Do dzisiejszego numeru dołączamy czeki wszystkim kwartalnym i półrocznym Prenumeratorom „Roli“.

Wycofane banknoty. Bank Polski przypomina, że wycofane z obiegu bilety bankowe 10, 20 i 50 złotowe z datą 28 lutego 1919 r. i 15 lipca 1924 r. tracą wszelką wartość pieniężną z dniem 31 lipca 1929 r. Wymianę wspomnianych biletów uskutecznia wyłącznie centrala Banku Polskiego w Warszawie do 31 lipca br.

Nowe monety polskie. Mennica królewska w Brukseli wykonała dla rządu polskiego 5 miljonów srebrnych 5-złotówek, które będą w niedługim czasie dostarczone do Warszawy. Monety te były bite na stemplach, dostarczonych przez mennicę państwową w Warszawie. Nowe monety polskie mają 33 milimetrów średnicy, ważą 18 gramów. Jedna strona przedstawia orła polskiego ustawowego wzoru, strona zaś odwrotna przedstawia postać kobiety wyobrażającej zwycięstwo. Krążki na bicie srebrnych 5 złotówek zostały nabyte w mennicy królewskiej w Londynie w ilości 15 miljonów sztuk, z tego 10 miljonów dostarczono mennicy państwowej w Warszawie, która ogółem wykonać ma 23 miljony monet. Mennica państwowa w Warszawie wykonała już znaczną część tego zamówienia. Wykonane transporty dostarczone są skarbowi Banku Polskiego. Całe zamówienie ma być wykonane do roku przyszłego. Niezależnie od tego bije mennica państwowa w Warszawie jednozłotowe monety niklowe, które zastąpić mają będące obecnie w obiegu jednozłotowe monety srebrne. Nowa moneta, która będzie wybita w ilości 30 miljonów sztuk, zawierać będzie 99 procent najczystszego niklu. Będzie ona rozmiaru 25 milimetrów średnicy, wagi 7 gramów. Nikiel ten wrażliwy na magnes, jest bardzo trudny do podrabiania.

Z akcji meljoracyjnej Tow. rolniczego. Sekcja meljoracyjna Małopolskiego Tow. rolniczego w Krakowie przygotowała na okres letniego i jesiennego sezonu robót meljoracyjnych szereg projektów głównie z osuszenia gruntów w powiatach Biała, Bochnia, Brzesko, Chrzanów, Dąbrowa, Kraków, Krosno, Mielec, Nisko, Pilzno, Ropczyce, Tarnów, Oświęcim, Limanowa, Jasło, Pińczów, Kolbuszowa, Nowy Targ. Wyzyskanie sezonu dla tych robót na obszarze z górą 2.000 ha zależne jest od przyspieszenia tempa w udzielaniu koncesji przez odnośne starostwa oraz od terminowego udzielenia długoterminowych pożyczek meljoracyjnych przez państwowy Bank rolny. W dużym stopniu zależy to także od interesowanych, którzy muszą pamiętać, że każda zwłoka w załatwieniu wymagań, czy to starostwa, czy też państwowego Banku rolnego naraża ich na niepomierne straty czasu w uzyskaniu koncesji czy kredytów a w następstwie na straty materjalne. Od współdziałania harmonijnego i czasem dużego poświęcenia czasu i energji tych trzech czynników zależy postęp produkcji rolnej w kraju.

Tegoroczne manewry w Polsce. Manewry tegoroczne odbędą się w rejonie Lida Baranowicze w województwie nowogrodzkiem od 1 do 5 września. W manewrach weźmie udział kilka dywizyj piechoty oraz kawalerji i wszystkie oddziały wojsk specjalnych.

Emigracja polska. W roku ubiegłym wywędrowało z Polski za chlebem 186.630 emigrantów. Do Niemiec wyjechało 85.375 osób, do Francji 32.145, do Kanady 27.036, do Argentyny 22.007, do Stanów Zjednoczonych 8.507, do Brazylji 4.402, do Belgji 1 237, do Danji 593 i... do Palestyny 383 osoby.

Sprowadzenie zwłok gen. Bema. Z końcem czerwca b. r. sprowadzone zostaną do Polski zwłoki generała Bema, bohatera walk niepodległościowych Polski i Węgier z pierwszej połowy ubiegłego wieku. Przewiezienie trumny, która dotąd spoczywała w Turcji przez całe Węgry odbędzie się specjalnym pociągiem węgierskim, na koszt rządu węgierskiego. Dalszy transport zwłok odbędzie się koleją koszycko-bogumińską, przez Dziedzice i Kraków do Tarnowa.

Katastrofa autobusowa. Autobus kursujący na linji Tarnów Krynica doznał dnia 11 b.m. defektu w motorze na drodze w Porębie Radlnej, wskutek czego zaczął staczać się szybko z góry w kierunku Tarnowa, a następnie przewrócił się i został częściowo uszkodzony.



Jadący w tym autobusie pasażerowie w ilości 14 osób zostali ciężko uszkodzeni na ciele i przewiezieni do szpitala w Tarnowie. Niektórzy, widząc grożące niebezpieczeństwo, poczęli z autobusu wyskakiwać, ponosząc rany i silne stłuczenia. Wymieniony autobus jest własnością Władysława Szymczuka i Ski z Tarnowa, zaś szofer Wacław Jakowicz z Tarnobrzega nie posiadał zezwolenia na prowadzenie autobusu. Dotychczasowe dochodzenia wykazały, że defekt w motorze nastąpił wskutek przeciążenia autobusu, który mógł pomieścić jedynie 12 osób, razem z szoferem i obsługą, podczas gdy krytycznej chwili znajdowało się tamże 18-cie osób. Szofer został zatrzymany do dalszych dochodzeń.

Zamordowanie pisarza gminnego. W Woli Komborskiej obok Krosna zamordowano Stanisława Bigonia, sekretarza tamtejszego urzędu gminnego. Nieznany sprawca zadał mu siekierą sześć uderzeń w głowę. Na razie nie można ustalić powodu tego czynu. Policja prowadzi dochodzenia celem wykrycia sprawcy.

Śmiały rabunek. W gminie Niebylec koło Strzyżowa został dokonany śmiały rabunek. Tamtejsza mieszkanka Marja Fijałkowska miała we wsi opinję, że jest w posiadaniu większej gotówki pieniędzy. To spowodowało, że dwaj nieznani bandyci postanowili ją obrabować. W tym celu w nocy dostali się na dach jej chaty, uczynili w strzesze otwór i w ten sposób dostali się na strych, a stąd zeszli na dół i weszli do jej izby. Pod groźbą zamordowania zabrali jej 30 zł., a następnie Fijałkowską dotkliwie pobili, domagając się od niej wydania reszty pieniędzy. Gdy to nie odniosło skutku, z obawy przed przytrzymaniem zbiegli z chaty.

Pomysłowy oszust. Na skutek doniesienia karnego szeregu lwowskich firm aresztowano w Pomorzanach (pow. Zborów) Wilhelma Glińskiego zamieszkałego stale we Lwowie przy ul. Bema 18 pod zarzutem szeregu oszustw. Gliński, otrzymawszy w spadku 25 morgów pola, sprzedał je, a korzystając z tego, że sprzedaż nie została jeszcze tabularnie przeprowadzona, hipotekę obciążył zapisami dłużnymi, a poza tem pobrał u szeregu firm lwowskich za pokryciem wekslowem większą ilość towaru i z miejsca towar sprzedał poniżej ceny kupna. Wkońcu Gliński sprzedany już raz i zadłużony grunt sprzedał poraz drugi lwowskim nabywcom a następnie

poraz trzeci kolonistom z pod Lwowa. Wszyscy, których Gliński swojemi oszukańczemi machinacjami naraził na szkodę, winni zgłaszać swe pretensje w lwowskim wydziale śledczym przy ul. Kazimierzowskiej 30.

Strzał przez okno. We wsi Horycko, powiatu drohobyckiego, popełnione zostało onegdaj morderstwo w sposób skrytobójczy na osobie tamtejszego rolnika Iwana Dudycza, liczącego lat 50. Gdy Dudycz w nocy siedział w swojem mieszkaniu, nagle rozległy się na podwórzu odgłosy kilku strzałów rewolwerowych.



Gnany ciekawością otworzył drzwi, gdy w tem znów padły strzały, z których jeden ugodził Dudycza w płuca. Niebezpiecznie ranny w drodze do szpitala w Drohobyczu, zmarł. Policja rozpoczęła energiczne śledztwo i wykryła sprawców skrytobójczego morderstwa w osobach Jurka Taciowa, lat 39, Fedia Andruszyka, lat 22, zamieszkałego w Horycku i trzeciego ich towarzysza. Wymienieni, będąc sąsiadami zamordowanego, wszczynali z nim ciągłe kłótnie o prawo używania studni, stojącej na podwórzu Taciowa. Nie mogąc się jednak z Dyduczem pogodzić, zamordowali go w opisany sposób. Obu morderców odstawiono do sądu grodzkiego w Medenicach (pow. Drohobycz).

Przygody karciarzy. Donoszą z Kopyczyniec o niezwykłej przygodzie dwu oszustów, których policja przytrzymała w pociągu na stacji kolejowej w Kudryńkowcach. W ostatnim wozie tego pociągu dwaj oszuści zgrywali pasażerów w karty. Dowiedziawszy się o tem komendant posterunku przodownik Kowalczyk, wszedł do wagonu i usiłował oszustów aresztować. Ci jednak stawili mu opór i w pewnym momencie jeden z nich wyskoczył oknem, przytrzymany jednak przez zwrotniczego kolejowego Szarawskiego po krótkiem szamotaniu się wyrwał mu się z rąk i zbiegł do lasu. Drugi oszust przemocą zaciągnięty został na posterunek i stamtąd odprowadzono go do aresztów gminnych, gdzie jednak w nocy wyłamał drzwi i zbiegł. W jakiś czas później przytrzymano go poraz wtóry i zakuto w kajdany. Okazało się, że jest to niejaki Pieżanowski, zawodowy oszust, który grasuje stale w pociągach na przestrzeni Stanisławów-Tarnopol-Lwów. Osadzono go w więzieniu karnem w Kopyczyńcach.

Straszny wypadek podczas zabawy. Z Katowic donoszą o okropnej katastrofie, jaka miała miejsce w Raciborzu w czasie zabaw ludowych. Gondola karuzeli, znajdującej się w pełnym biegu, ważąca około 150 kilogramów, oderwała się nagle i runęła na stojący dokoła tłum widzów. Wskutek tego wypadku 17 osób zostało ranionych, między tymi trzy bardzo ciężko. Przyczyną katastrofy było oderwanie się gondoli wskutek nienależytego umocowania na linach. Właściciela karuzeli aresztowano.

Zamach na pociąg. W dniu 9 b. m. wieczorem, omal że nie przyszło do katastrofy kolejowej między stacjami Żyrardowem i Jaktorowem. Pociąg towarowy, idący do Warszawy, wpadł na położoną przez jakieś zbrodnicze ręce w poprzek toru szynę kolejową długości 12 metrów. Wskutek przytomności umysłu maszynisty, pociąg zatrzymano, jednakże nastąpiło dość znaczne uszkodzenie toru. Pociąg pospieszny, który zdążał za towarowym, został również zatrzymany. Rozmiary katastrofy byłyby ogromne, gdyby nie pociąg towarowy, lecz pospieszny pierwszy wpadł na szynę. Władze policyjne prowadzą energiczne śledztwo.

Złodzieje cmentarni. Z Warszawy donoszą: Od dłuższego czasu cmentarze warszawskie padały pastwą sprytnych złodziei, którzy w nocy okradali kaplice, odśrubowywali z pomników i grobowców mosiężne okucia, a nawet figury Chrystusa z krzyżów. Złodzieje długi czas byli nieuchwytni. Dopiero onegdaj w nocy patrol policyjny natknął się na szosie, między Wawrzyszewem a Młocinami, na dwóch chłopców, z których jeden dźwigał wyładowany plecak a drugi niósł pęk blach, związanych drutem. Widząc zbliżającą się policję, chłopcy starali się zniknąć w ciemnościach. Policji udało się zatrzymać obydwóch. Wkrótce pokazało się, że na chłopców czeka na łódce na Wiśle jakiś mężczyzna. Mężczyzna ów na widok policji odbił od brzegu i korzystając z ciemności, odpłynął. Aresztowani chłopcy z płaczem zeznali, że są dziećmi ulicy, nikt się niemi nie opiekuje, a mężczyzna, który oczekiwał ich w łódce, daje im jeść, posyłając ich na kradzieże cmentarne. Za zbiegłym opryszkiem, który przysposabiał dzieci na hjeny cmentarne, wdrożyła policja dochodzenia.

Duchy włamywaczami. Z Bydgoszczy donoszą: Onegdaj o 5 nad ranem dwaj włamywacze dostali się do zamku księcia Radolina w Bogusławiu, pow. jarocińskiego. Złodzieje wszedłszy przez balkon do salonu, okryli się białemi prześcieradłami i w ten sposób udając duchów, weszli do pokoju służącej, która zbudzona ze snu i przerażona nie mogła wydobyć głosu. Następnie weszli do drugiego pokoju zajmowanego przez krewną księcia p. Bring, gdzie również w ten sam sposób przestraszyli zbudzoną ze snu kobietę, która w obawie o swe życie udawała dalej śpiącą. W pewnym momencie, gdy złodzieje poczęli plądrować mieszkanie p. Bring, zamknąwszy drzwi, wszczęła alarm. Zbudzony ze snu książe Radolin chwycił dubeltówkę, co widząc złodzieje wyskoczyli z drugiego piętra na trawnik i z łupem zbiegli.

Tajemnicza mogiła. Z Torunia donoszą o odkryciu strasznej zbrodni w lesie, należącym do majątku Sławkowo pod Toruniem. Jeden z urzędników majątku, przechodząc przez las, natrafił przypadkowo na świeżą mogiłę, obok której leżała pokrwawiona chustka. Na ziemi widoczne były ślady walki. Zawiadomiona policja rozkopała mogiłę, na dnie której znaleziono zwłoki dwóch kobiet. Jedna liczyła około 40 lat, druga około 15 lat.

Chodząca trupia czaszka. Jedno z miasteczek belgijskich, w pobliżu Gandawy, przeżyło w tych dniach niebywałe chwile. Grabarz miejscowy, kopiąc na cmentarzu nowy grób, znalazł w ziemi jakąś starą czaszkę. Z szacunkiem postawił ją na pobliskim murze i dalej kopał. Po chwili odpoczął, oparł się na łopacie, otarł pot z czoła, mimowoli rzucił okiem w stronę czaszki i... zdrętwiał. Czaszki nie było w miejscu, gdzie ją położył! Powiódł okiem wzdłuż muru i jego strach zmienił się w przerażenie. Czaszka powoli, ale stale, szła sama po murze!... Grabarz narobił takiego wrzasku, że zbiegli się ludzie z całego miasteczka, aby także wpaść w przerażenie. Wreszcie jeden z obecnych, niewiadomo czy z wybuchu nagłej odwagi, czy też szału trwogi, chwycił za drąg żelazny i rozbił w kawałki zaczarowaną trupią

głowę, z pod której ukazała się duża ropucha, bardzo zadowolona, że zdjęto z niej ten ciężar, który na nią grabarz nieświadomie nałożył.

Katastrofa podczas tańców. W starym pałacu w Neapolu odbywały się na III piętrze chrzciny nowonarodzonego synka pana domu, Anzelma Torelli. Po uczcie nastąpiły tańce w sali balowej. Nagle zapadła się podłoga wraz z całem towarzystwem i tańczący runęli, przebijając sufit II piętra, wreszcie zatrzymali się na pierwszem piętrze. Z gruzów wydobyto 11 osób śmiertelnie rannych, kilkanaście z lekkiemi obrażeniami. Tylko kilka młodych dziewcząt, które pietruszkowały, ocaliły się pod ścianą.

Młody mąż starej żony. W miejscowości Roubaix we Francji odbyła się onegdaj ceremonja ślubna, która wywołała ogólną sensację. Oto 71-letnia wdowa p. Becylja Clauvaert, właścicielka wyszynku, zaślubiła 18-letniego robotnika Marcela Becube, który od kilku miesięcy mieszkał u niej. Setki osób, powiadomionych o tem oryginalnem małżeństwie, wyczekiwały przed drzwiami magistratu, żądne sensacyjnego widoku „młodej pary". Oczekiwania ich zostały jednak zawiedzione, małżonkowie bowiem, celem uniknięcia manifestacji tłumu, opuścili gmach magistratu bocznem ukrytem wyjściem. Zapewne małżonek marzy teraz, aby jego połowica jak najprędzej pożegnała ten świat, a jemu pozostawiła wyszynk na własność.

Zdrowy zamiast chorego. W mieście Arnesban, w Anglji, odbyło się niedawno zgromadzenie, na którem omawiano między innemi, jak dalece służba szpitalna musi się mieć na baczności przy dokonywanych operacjach. Jeden z mowców, który właśnie ten temat poruszył, opowiedział następujące zdarzenie. W pewnym szpitalu miano dokonać ciężkiej operacji w jamie brzusznej. Wszystko było przygotowane i pacjent leżał już na stole operacyjnym, a nawet już go zachloroformowano. Operator już miał nóż w ręku, ale w chwili, kiedy miał wykonać pierwsze cięcie, coś go tknęło i odsłonił na chwilę twarz śpiącego. Zaledwie jednak na nią spojrzał, pobladł, nóż mu wypadł z dłoni, a on chwytając się za głowę, zawołał:

— Ależ na miłość Boską! To nie jest ten człowiek, którego miałem operować! Jeszcze chwila, a byłbym pokrajał chorego, który wcale operacji nie potrzebuje!

Pospiesznie wyniesiono człowieka, który ciągle jeszcze spoczywał zachloroformowany, do innej sali i zarządzono śledztwo. Otóż badania wykazały, że pielęgniarki pomyliły się, zabrały ze wspólnej sali innego chorego, który, nie domyślając się, co go czeka, dał się spokojnie zachloroformować.

Waleczna kaczka. Niecodziennego widowiska świadkiem była w tych dniach publiczność, przechadzająca się po parku w mieście angielskiem Richmond. Jedna z kaczek, znajdujących się na stawie parkowym, poprowadziła przez trawnik gromadę swych piskląt ku wodzie. Na widok rozkosznych maleństw publiczność zaczęła rzucać okruchy chleba i bułek, które kaczęta chciwie połykały. Ale i wróble złakomiły się na te okruchy, kaczka więc stanęła w obronie swego potomstwa, odpędzając gorliwie natrętów, gdy zaś jeden z nich nie chciał odlecieć, schwyciła go dziobem, zaciągnęła do stawu i dopóty trzymała pod wodą, dopóki się nie zadusił. — Wkrótce na tę samą rodzinę kaczek rzucił się jakiś wojowniczy piesek. Wówczas kaczka-matka w obawie o swe potomstwo, uciekła się do podstępu. Oto udając, że ma skrzydło złamane i że kuleje, pozostała w tyle, a gdy ośmielony tem napastnik skoczył ku niej, zdzieliła go tak potężnem uderzeniem dzióba w nos, że piesek, skowycząc żałośnie, uciekł czemprędzej.

Najgłębsza studnia. W Londynie na ukończeniu jest budowa studni w hotelu Savoy, która będzie miała 250 metrów głębokości i będzie mogła dawać 70.000 litrów wody na godzinę. W tym samym hotelu są jeszcze dwie inne studnie, które razem dają 50.000 litrów wody na godzinę. Jeden z dziennikarzy opuścił się na dno studni i przesiedział tam 25 minut. Według jego świadectwa jest to najcichsze i najspokojniejsze miejsce w Londynie. Panuje tam jednak taka wilgoć, jakby nieustannie padał deszcz, tak, że robotnicy wszyscy pracują w ubraniach gumowych.

Głód i nędza w Chinach. Oczy całego świata są znowu zwrócone na Chiny, które weszły w ostry konflikt z sowiecką Rosją. Nieszczęśliwy ten kraj pławi się we krwi od lat. Wybuchające co jakiś czas walki domowe dziesiątkują poprostu ludność. Oprócz chorób, epidemij, i nędzy panuje na terenie olbrzymiego państwa „Zielonego Smoka" głód, pochłaniający nieskończone ilości ofiar. Wedle wiadomości z prowincji Sanynau, chłopi żywią się tamże korą drzewną, słomą i liśćmi. Na tle głodu i nędzy uprawiany jest średniowieczny handel kobietami i dziećmi. Są wsie, w których co szóste dziecko jest sprzedawane. Cała prowincja wygląda jak pustynia, wioski robią wrażenie cmentarzy. Na terenie Szantungu, gdzie w ostatnich miesiącach Chang-Tsung-Chang zorganizował powstanie przeciw rządowi nankińskiemu, ludność żyje w ustawicznej panice. W jednym z raportów misji cudzoziemskiej czytamy: „Wiadomość o zbliżaniu się wojsk wywołuje więcej przerażenia, niż wieści o najeździe Hunnów na Europę. — Wszystko rzuca się do ucieczki. W pierwszym rzędzie kobiety i dzieci. Większa część ludności przymiera głodem. Na drogach leżą zwłoki tych, którzy padli z wycieńczenia". Wedle obliczeń, z natury rzeczy pobieżnych, klęska głodu dotknęła dwadzieścia miljonów ludności.

Morderca z zemsty. W południowo-zachodniej Alasce, w dolinie Obernushaga od lat dziesięciu teroryzuje ludność okoliczną Indjanin, nazwiskiem Klu-Tok. Żonę jego zamordował jakiś biały, który znajdował się w pobliżu jego szałasu. Gdy rozwścieczony Klu-Tok napróżno przez długi czas szukał jego śladów, przez zemstę zaczął mordować wszystkich napotkanych mężczyzn, bez względu na kolor ich skóry. W ten sposób zamordował już czterech białych i przeszło 20 Indjan. W r. 1927 schwytało go trzech trapperów amerykańskich i trzymało w niewoli. Klu-Tok czekał odpowiedniego momentu, a gdy dwaj z jego przeciwników oddalili się na chwilę, zamordował trzeciego i uciekł. Władze amerykańskie urządzają na niego formalne polowania, by go żywym lub umarłym schwycić, lecz, jak dotąd, zupełnie bez skutku. Ofiary swe Klu-Tok zabija strzałami z łuku, choć używa również niekiedy broni palnej. Obecnie na kongres amerykański wpłynął wniosek, żądający od rządu zabezpieczenia życia obywateli Alaski i schwytanie niebezpiecznego wroga mężczyzn.

Kosztowny rozwód. Gwałtownie szerząca się w Stanach Zjednoczonych epidemja rozwodów stała się dla wielu praktycznych Amerykanek zgoła niezłym interesem. Wszak kilkakrotny — a nie należy to tam do rzadkości — rozwód, uwieńczony zasądzeniem męża na zapłacenie alimentów, pozwala rozwódce na zupełnie dostatni tryb życia. Wprawdzie nieraz wystarczy raz tylko się rozwieść, aby więcej nie znać kłopotów finansowych. Jeden z miljonerów amerykańskich, Ovator F. Woodand, po kilkunastoletniem pożyciu z żoną rozwiódł się i musiał żonie wypłacić dość okrągłą sumkę 1,680.000 dolarów.

RZECZY CIEKAWE.

Największy zbiór monet.

Według doniesień jeden z banków amerykańskich zkupił zbiór 40 tysięcy sztuk starych monet zgromadzony przez mr. Farran'a Zerbe w ciągu czterdziestu lat życia. Wraz z tym zbiorem nabyto bibljotekę książek, traktujących o numizmatyce. Zarówno monety, jak bibljoteka będą stale dostępne w lokalu nowojorskiej centrali banku, przedewszystkiem jako materjał naukowy dla uczonych i literatów. Zbiór monet rozpoczyna się cegiełką babilońską z przed 5 tysięcy lat zawiera między innemi pierwszy banknot, używany w systemie monetarnym Chińczyków około r. 1300; pierwsze monety, wybite około r. 700 przed Chr. a także z ostatnich czasów banknot Rzeszy Niemieckiej opiewający na biljon marek. Osobliwości tego zbioru stanowią także środki pieniężne, jak prasowane cegiełki herbaty, kawałki słodkiego drzewa, bryłki soli, i t. p. monety obiegowe używane w krajach egzotycznych. Zbiór Zerbe'go już przed wojną światową szacowano na 10 tysięcy funtów szterlingów. Z ostatnich czasów pochodzi w tej kolekcji czek na 5 tysięcy funtów, wręczony Lindbergh'owi, jako nagroda za lot transatlantycki. Najcięższą monetą świata jest pomieszczona w tym zbiorze płyta miedziana, ważąca 31 funtów, długa na 60, a szeroka na 30 cm., która swego czasu równała się w Szwecji ośmiu talarom. Najmniejszym ośrodkiem jest okaz pochodzący z Indyj południowych, bryłka nie większa od główki szpilki, jednakże zrobiona ze szczerego złota.

Węgiel i nafta.

W prasie angielskiej ukazało się ostatnio sprawozdanie z międzynarodowego kongresu techników, który pod koniec ubiegłego roku obradował w Londynie. W sprawozdaniu tem podane są między innemi bardzo ciekawe obliczenia dotyczące zapasów węgla i nafty jakie kryją się we wnętrzu ziemi. Otóż przypuszczalnie ilość węgla, znajdująca się na całym świecie oceniona została na ogólną ilość 7.000 miljardów ton. Ponieważ przez przeciąg jednego roku konsumuje się na całym świecie przeciętnie 1.5 miljarda ton, przeto zapas węgla starczy ludzkości jeszcze najmniej na 4000 lat. Tak samo potężne są również i ilości nafty, kryjącej się we wnętrzu ziemi, przyczem wszelkie inne źródła energji, jakie wykorzystuje dzisiejsza ludzkość, pozwalają nam najmniej na przeciąg 35.000 lat nie obawiać się braku materjałów palnych i popędowych.

Ilość obywateli Watykanu.

Z zestawionych list personalnych wynika, że na mocy traktatu laterańskiego, prawo obywatelstwa w nowem mieście watykańskiem otrzyma około 400 osób. Z pośród dostojników kościelnych znajdują się w tej liczbie: 25 kardynałów kurjalnych, prałaci i urzędnicy kongregacyj, konsultorzy i urzędnicy trybunałów Segnatura, Rota, Cancellaria i Datarie, komnat apostolskich i sekretarjatu stanu, stałych komisyj papieskich, gubernator miasta Watykanu, wielki mistrz świętego hospitium, zarząd pałaców apostolskich i Maestro di Camera, audytor i jałmużnik Papieża, sztab i oficerowie gwardji papieskiej, urzędnicy rachuby, sekretarjatu i administracji dóbr papieskich, naczelny redaktor „Acta Apostolicae Sedis" i „Osservatore Romano", wielki kwatermistrz, architekci Watykanu, aptekarz papieski, prefekt bibljoteki dyrektorzy galerji i muzeów, prefekt tajnego archiwum, dyrektorzy papieskiego obserwatorjum astronomicznego, drukarni i księgarni.

Państwa watykańskie otrzyma monety z miedzi, niklu, srebra i złota, które z jednej strony będą miały wizerunek Papieża a z drugiej znak wartości.

Kto odkrył chininę?

Niewielu ludzi wie o tem, że chinina, która tylu ludzi wyrwała już z objęć śmierci w malarji i febrze, zawdzięcza swe zastosowanie w medycynie — Jezuitom. Nazwisko odkrywcy nie jest dokładnie znane. Był to jeden z misjonarzy w Południowej Ameryce. W r. 1600 zapadł na febrę i, szukając ratunku w śmiertelnej chorobie, zastosował odwar z kory drzewa chinowego. Doświadczywszy na sobie zbawiennych skutków tego lekarstwa, przesłał je do wiadomości na kapitułę swego zakonu do Rzymu. Wiele jednak czasu upłynęło, zanim wiadomość ta doszła do Europy, nie tak bowiem była łatwą podówczas komunikacja z krajami transatlantyckiemi. Nieprędko również, wobec trudności komunikacyjnych, wiadomość ta przeniknęła hasła medyczne w Europie. Wiadomem jest jednak, że już w r. 1655 chinina znaną była w Anglji pod nazwą „proszku jezuickiego".

Łzy jako lekarstwo.

Według zdania jednego z okulistów londyńskich płacz jest jednym z najlepszych zabiegów leczniczych dla oczu. Łzy które płyną w czasie płaczu są nadzwyczaj skutecznym środkiem dezynfekcyjnym dla oczu. W skład ich bowiem wchodzi pewna substancja chemiczna, zwana „Hisozimo", która jest znanym i bardzo silnym środkiem antyseptycznym. Łyżeczka tego płynu ma taką siłę działania, jak 400 litrów t. zw. wody ocznej, używanej w różnych chorobach oczu. Łzy płynące z oczu oczyszczają je ze wszelkich mikrobów i dezynfekują znakomicie.

Największa głębokość.

Największa głębokość morska dotychczas znana wynosiła 9.788 metrów na Oceanie Spokojnym w pobliżu wysp Filipińskich. Niedawno przeprowadzone pomiary natrafiły na większą jeszcze głębię 10 tys. metr. na południe od tych wysp. Jest to najnowszy światowy rekord głębokości. W porównaniu do średnicy naszego planety 10.000 metrów jest odległością bardzo niewielką. Gdyby razem złożyć tę głębię i wysokość najwyższego górskiego szczytu Ewerestu w Himalajach, otrzymalibyśmy razem 19.230 metrów, t. j. jedną trzytysięczną część średnicy ziemi.

Najstarszy burmistrz na świecie.

Najstarszym burmistrzem na świecie jest niewątpliwie burmistrz miasta Hoopectown w Stanach Zjednoczonych, którym jest obecnie doktór Fred E. Earel. Pobiera on za całą roczną pracę dla dobra miasta uposażenie w wysokości pół dolara, czyli nieco więcej, niż 4 i pół złotego. Radni owego, tak skromnie wynagradzającego swego burmistrza miasta, pobierają rocznie po 25 centów, czyli nie wiele więcej niż 2 złote.

Humor obrazkowy.



— Ratunku! Ratunku! tonę!

— Chodź bliżej, to ci wezmę miarę na pas ratunkowy.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **J. Górecki** w K.: Owszem drukujemy w każdym numerze, ale przecież więcej miejsca nie możemy poświęcać. Zagadki Pańskie są dobre, ale do druku trzeba pisać koniecznie atramentem i po jednej stronie papieru. Powieści pt. „Branki tatarskie“ dotąd wydrukowana jest połowa. **Piotr Kowalski** w D.: Zagadki zupełnie dobre. Należytość można nadesłać w znaczkach pocztowych; po otrzymaniu numer wyślemy. **Alfred Mantel** w K.: Skorzystamy. **Franciszek Macioł** w S. B.: Szarady, tak Pańska, jak i p. Broni, dobre. Wierszyk p. t. „Noc Świętojańska“ przyszedł nieco późno. **Juljusz Werner** w G.: Wierszyk p. t. „Po burzy“ dość dobry, natomiast „Modlitwa chorego“ — słaby. **Jakób Poss** w K.: Dlaczego wybiera pan takie dziwaczne pseudonimy? Czy nie najlepiej pracę swą podpisywać własnem nazwiskiem? **Alfons Czader** w S. W., **Jan Smaza** w Z., **Piotr Wenc** w Ś.: Z zagadek skorzystamy. **J. Żmuda** w Chicago: Prenumerata dla Pana jak i dla Żony zapłacona do końca roku. Brak tylko kilkanaście centów. Adres zmieniliśmy. Cześć! — **F. O.** w K.: Pieniądze pożyczone trzeba uważać za stracone. Chociażby Pan i co wyprocesował to więcej trzeba wyłożyć na adwokatów i opłaty stemplowe. Czy zagadki dobre, odpowiemy w następnym numerze. Zaległe numera od 5 maja b. r. wyślemy. **Jan Szczepkowski** w L.: Przyznajemy Panu słuszność, że postępowanie owego posła jest conajmniej dziwne, ale „Rola“, jako pismo niepolityczne nie chce się mieszać do walk partyjnych. — Nam trzeba spokoju, a nie kłótni. **A. Szklarski** w K.: Odpowiemy listownie.

UNIEWAŻNIA SIĘ zagubioną książeczkę wojskową wystawioną przez P. K. U. Rzeszów na nazwisko Jan Arazt, urodzony w roku 1895 w gminie Róża.



Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

■ ☆ ☆ ☆ Imię żydowskie.
■ ☆ ☆ ☆ Wytwór powietrza
■ ☆ ☆ ☆ Rzeka.
■ ☆ ☆ ☆ Pycha.
■ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Małopolsce.
■ ☆ ☆ ☆ Kwiat.
■ ☆ ☆ ☆ Porażenie.
■ ☆ ☆ ☆ Ptak.
■ ☆ ☆ ☆ Ryba.
■ ☆ ☆ ☆ Lotnik.

Początkowe litery wyrazów czytane z góry na dół dadzą ważny wypadek dziejowy w Polsce.

2. Zagadki humorystyczne.

1. Jakie niecki mają największą sławę?
2. Jaki kat wydaje dźwięk, kiedy go cisnąć na ziemię?
3. Jakie osy z przyjemnością kładziemy w usta?
4. Przed jakim kretem nawet w jamę schować się nie można?
5. Jakiego kwitu należy życzyć polskiemu przemysłowi?
6. Jaką wannę trudno zatkać?
7. Jakie Ewy nie mają biustu, ani żadnej rzeczy, która ich jest?
8. Jaki duch łatwo się wywołuje?
9. Jakie kotki nigdy się nie kocą?
10. Jaki kąt tworzy rogi?

3. Szarady.

(Ułożył Franciszek Kulak).

I.

Gdy kto twoją sławę,
Pierwsza druga nieraz,
To oddajesz sprawę
Adwokatom zaraz.
Sama trzecia zwarte
Wody Wiśle zsyła,
A przed drugie-czwarte
Sroga wojna była.
Całość męskie imię
Wzięte z kalendarza,
Przewlekłe ma brzmienie,
Co się rzadko zdarza.

II.

Jak z tyłu, tak z przodu i bez troski,
Przeczytaj i powiedz, który to król polski?
Dodać jeszcze mogę, lecz mi to nie miło,
Że jego panowanie Polskę zgubiło.

4. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Adam Galer z K.).

li	li	da	zy	ka	ka
na	ma	na	na	ba	ta
ra	ra	te	li	li	ba
du	du	nek	po	le	le
e	nek	log	ry	da	ko
ro	ła	ro	go	da	go

Zgłoski poprzestawiać w ten sposób, aby w każdym kwadracie były słowa o jednakowem znaczeniu tak pionowo jak poziomo.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 29 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 23 „Roli“: 1. Logogryf: Juljusz Słowacki — Balladyna — Mazepa. 2. Szarady: I. Umierający. II. Zakopane. III. Ulica. IV. Kraków. 3. Kryptogram: „Pierwsze uczucie matka w sercu dziecka budzi. Mistrzowie kształcą uczniów, matki tworzą ludzi“. 4. Łamigłówka zoologiczna: Nosorożec. 5. Łamigłówka geograficzna: Tomaszów.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Adam Galer z K., Jan Weber z K., Józef Weber z K., Franciszek Cieplak z W., Józef Rodak z T., Ks. Maciej Suchodolski z T., Bronisława Bryniarska z H., Dominik Bielak z Ch. W., Franciszek Rajca z T., Alfred Mantel z K., Piotr Kowalski z T., M. Krieger z T., J. Górecki z K., Teofila Kriegerówna z T., Piotr Wenc z S., Jakób Jeziorański z K., Jan Smaza z Z.

Nagrody wylosowali pp.: Cieplak Franciszek z W. i Jakób Jeziorański z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Z mowy adwokata w sądzie.

...i ta kobieta poczęła w bólach okropnych. Wyobraźcie sobie, panowie sędziowie, siebie na jej miejscu!...



Nie zabrania.

Żona: — Oto małżonek, jaki być powinien! Czy słyszałeś, jak powiedział do swej żony, aby oglądnęła sobie to futro za 200 dolarów?...

Mąż: — Moje kochanie, a czyż ja ci kiedy wzbraniałem oglądnąć futra nawet za tysiąc dolarów?...



W sądzie.

Sędzia (do oskarżonego o kradzież): Powiedz mi szczerze, czy cię też sumienie nie gryzie.

Złodziej (drapiąc się w głowę): Gryzie mię trochę, ale to chyba nie sumienie.

Ładne szczęście.

Lekarz (oglądając trupa po wypadku automobilowym):

— Trzy rany! Pierwsza jest śmiertelna, ale dwie następne, na szczęście, są bez znaczenia.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 11 czerwca b. r.
Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·28 do 1·90 zł.	Jałownik	od 1·10 do 1·90 zł.
Woły . .	od 1·37 do 1·90 zł.	Cielęta .	od 1·38 do 2·30 zł.
Krowy .	od 0·83 do 1·82 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·30 do 2·77 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 3·00 do 3.70

Giełda płodów rolniczych

z dnia 11 czerwa b r.

Pszenica .	46·00—46·50	Słoma długa	8·00—9·00
Żyto .	26·50—27·70	Ziemniaki stoł.	5·50—6·50
Owies . .	29·50—30·00	Koniczyna na-	
Jęczmień .	25·00—26·00	sienn. czer.	00·00—00·00
Fasola biała	150·00—180·00	Mąka żytnia	44·50—46·50
Groch zwyk.	50·00—53·00	Mąka pszen.	76·00—76·50

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.